OPŁATA POCZTOWA
uiszczona ryczałtem

Cena 8 zł.

Instytut Bałtycki Wydz. Biblioteczny
Bydgoszcz - Al. 1-go Maja 48

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 24 listopada 1946 r. | Nr 46 (74)

Uniwersytet Gdański Biblioteka
CIV 9037

Maciej Czuła

Wielcy wodzowie chłopscy (II

JAN STAPIŃSKI (1867—1946)

Polityczny ruch ludowy w Polsce, zwłaszcza w południowej jej części należącej pierwotnie do Austrii, był może oprócz niektórych państw jak Czechy i Francja prawie że ruchem najstarszym i najbardziej żywiołowym. Wszak przecie w ojczyźnie demokracji, w Anglii, nie było i nie ma stronnictwa chłopskiego, w Niemczech partia ludowa była zawsze nieliczna, a w innych państwach np. w Szwecji dawno uzyskały większość partie robotnicze. Dlaczego zatem było w Polsce inaczej?

Przyczyną tego ciekawego procesu politycznego była przede wszystkim ta okoliczność, że różne narody wchodzące w skład Austrii mogły sobie dość wcześnie wywalczyć swobody polityczne i demokratyczny ustrój, z czego skorzystali Polacy, zaprowadzając u siebie stopniowo polską administrację i polski język w urzędach i szkołach oraz wprowadzając szeroki samorząd terytorialny z sejmem krajowym i gęstą siecią rad powiatowych z wyboru. Stało się to dla chłopów doskonałą szkołą polityczną, w której mieli swój głos.

Drugą i bodaj najważniejszą przyczyną tego wybujałego u nas i wczesnego rozpolitykowania chłopów była nędza powszechna na wsi i nieustępliwe stanowisko szlachty, która zagarnąwszy władzę w swoje ręce wykorzystywała ją w celu jak największego pognębienia chłopów. Chłopi oczywiście nigdy nie wydobyliby się sami spod tej natrętnej „opieki", bo byli na to zbyt jeszcze ciemni i nieporadni. Za nich musieli to zrobić inni — często tacy, którym chłop z początku nie ufał i był wobec nich podejrzliwy.

Gdy po roku 1860 zaprowadzono w Austrii konstytucję, nie wiele i nie od razu mogli chłopi z niej korzystać, bo rządy w kraju uchwyciła natychmiast sprytna i dbająca o siebie szlachta, przeprowadzając w parlamencie austriackim wybitnie szkodliwe dla włościan ustawy(np. gminna, łowiecka, drogowa itd.), z których wiele dotrwało aż do powstania państwa polskiego. W świadomości ludu zachowała się długo pamięć o pańszczyźnie, bo przy uwłaszczeniu włościan zapomniano. czy prześlepiono uregulowanie t.zw. serwitutów czyli służebności, z których wynikały ciągłe spory między wsią a dworem.

Nic się w kraju nie poprawiło, bo i nie mogło się poprawić, po wyborach w roku 1861, po których zasiadło w sejmie galicyjskim 39 posłów włościan, największa liczba posłów włościan, jaka kiedykolwiek zasiadała w tym sejmie. Nie mogli oni z braku oświaty i wyrobienia politycznego nic zdziałać dla swego stanu i ani chłopi, ani rząd nie mieli z nich żadnego pożytku. Wkrótce spadł na gminy ogromny ciężar obowiązków, którym nie mogły one podołać. Szkoły powstawały bardzo powoli, bo nie było na nie funduszów i nie bardzo się śpieszono z ich zakładaniem, więc młodzież wyrastała wciąż bez nauki. Trzeba było budować mosty, drogi -- a nie było za co.

„Komunikował ksiądz w kościele. Chłopowina jedna już otwarła usta na przyjęcie Komunii, ale że kapłan zauważył po jego wyglądzie, iż żadnej świadomości nie ma ten człek, usunął mu świętość sprzed ust i pyta: — Dobry człowieku, a wiesz ty, kto ten świat stworzył? Chłop zgłupiał do cna, myśli długo, wreszcie uchwycił plebana za nogi i rzekł: — Proszę dobrodzieja, adyć my go pono na pańskim zrobili

Wszystko na pańskim zrobili chłopi, toć nie dziw, że ten biedak rozumiał, że i świat jest ich roboty"*).

Smutno było wtedy w izbach chłopskich. Bardzo dobrze ilustruje te ponure czasy wierszyk spłodzony przez pióro jakiegoś zgorzkniałego poety:

„O Galicjo, kraju nędzy, ucisku, ciemnoty,
Piekłem stałaś się dla biednych, rajem dla lichwiarzy
A dla rządu? — Źródłem złota płynącem obficie
Z pracy, potu i krwawicy zgłodniałych nędzarzy".

GRUPA DZIAŁACZY LUDOWYCH

Od lewej: **Bochenek, Seib, Putek, Sanojca, Matusz, Wójcik, Stapiński i Madej**

W takich warunkach zjawił się pierwszy między ludem ks. **Stojałowski** a niedługo za nim **Jan Stapiński,** poniekąd jego uczeń. Ujrzał on światło dzienne w Budzyniu, przysiółku Haczowa, w powiecie brzozowskim**) w roku 1867 jako syn kilkumorgowego chłopa. W domu się nie przelewało, a ponieważ ojca stracił wcześnie w nieszczęśliwym wypadku i w dodatku po śmierci ojca pozostał na łasce macochy, miał od dzieciństwa życie trudne i ciężkie. Borykając się z biedą kształcił się o własnych siłach w gimnazjum jasielskim. I tu spotkało go nieszczęście, bo popadł w groźną chorobę oczu i prawie zupełnie zaniewidział. Ojciec, choć wtedy jeszcze żył, nie miał środków materialnych na wyleczenie syna, a może lekceważył chorobę. Złożyli się na niego dzielni jego rodacy i sąsiedzi. I Jan Stapiński za zebrane od dobrych ludzie pieniądze pojechał do Krakowa, do słynnego okulisty prof. Rydla i wkrótce został wyleczony. Odtąd zawsze był serdecznie wdzięczny swoim rodakom za skuteczną pomoc w nieszczęściu i przemyśliwał, w jaki sposób mógłby im się odwdzięczyć. Zaczął rozważać i układać sobie w głowie przyszłą pracę dla ludu. I tak już wtedy go ukochał, że — jak pisze jego biograf Szczepański — „Stapiński w początkach jego kariery politycznej byłby w stanie popełnić nawet przestępstwo kryminalne, by za tę wielką cenę mógł dopomóc biednym chłopom"*) Po złożeniu w roku 1888 matury przenosi się Stapiński do Lwowa i zapisuje się na prawo, a ponieważ ciągnie go praca dla ludu, zgłasza akces do księdza Stojałowskiego, wreszcie otrzymuje posadę w demokratycznym dzienniku „Kurier Lwowski", gdzie okazał wkrótce duży talent publicystyczny.

W roku 1894 podczas powszechnej wystawy krajowej we Lwowie, zebrało się wielu działaczy ludowych, którzy po naradach utworzyli „Polskie Towarzystwo Demokratyczne", przekształcone w roku 1895 na zjeździe w Rzeszowie w „Polskie Stronnictwo Ludowe", na którego czele stanął wkrótce wybrany jako prezes — Jan Stapiński.

W roku 1896 odbył się w Tarnowie wielki zjazd ludowców z całego kraju, gdzie powzięto cały szereg uchwał, a raczej tez programowych, które ogłoszono drukiem. Streszczały się one w następujących zadaniach:

1. Należy czuwać nad ścisłym wykonywaniem ustaw, zastrzegających swobodę prasy, stowarzyszeń i zgromadzeń i chronić lud od wszelkich nadużyć.

2. Dążyć z całym naciskiem do rozszerzenia prawa wyborczego i zmiany ordynacji wyborczej w duchu równości obywatelskiej i głosowania bezpośredniego i tajnego.

3. Dążyć do równomiernego rozkładu ciężarów publicznych, do ulg dla rolnictwa, przemysłu i rzemiosł.

4. Starać się o rychłe przeprowadzenie reformy gminnej i skojarzenie obszarów dworskich z gminami. wyjednać dla gmin słuszne wynagrodzenie za sprawowanie czynności.

5. Trzeba popierać oświatę przez mnożenie liczniejszych szkół i polepszenie bytu nauczycieli ludowych, ułatwiać młodzieży kształcenie się. Popierać oświatę fachową.

6. Domagać się uproszczenia sądownictwa w sprawach spornych i majątkowych, zniesienia uciążliwych opłat sądowych i taks za doręczanie pism ze sądów.

7. Nastawać, aby sprawa regulacji rzek, potoków górskich i zalesienia piasków załatwiona była w jak najkrótszym czasie.

8. Domagać się zmiany ustawy kościelnej i wyborów komitetów kościelnych.

9. Domagać się zmiany ustawy łowieckiej i drogowej tak, by szkody wyrządzane przez dziczyznę były wynagradzane i żeby myta na drogach zostały zniesione.

10. Domagać się wydania ustawy przemysłowej, któraby chroniła drobny przemysł domowy od ucisku fiskalnego i konkurencji wielkich zakładów fabrycznych.

11. Pilnować, aby wszystkie dostawy do wojska i zakładów publicznych były zamawiane w kraju i bezpośrednio u producentów.

12. Naglić o rychłe zaprowadzenie krajowych przytulisk dla kalek i starców oraz domów przymusowej pracy i kolonii karnych dla przestępców.

13. Wejrzeć w praktykę cłową państwa i zapewnić zbyt wyrobom przemysłu krajowego. W okresie budowy kolei baczyć, aby linie kolejowe przebiegały koło uzdrowisk i fabryk.

14. Przyśpieszyć organizację obrony przed pożarami i zapewnić przymus asekuracji od ognia, gradu i klęsk żywiołowych.

15. Wyjednać zaopiekowanie się sprawą zarobkowej emigracji ludu za granicę.

16. Jako obywatele wszyscy równi wobec prawa i wypełniający zarówno swoje obowiązki względem kraju i państwa, domagamy się równej miarki dla wszystkich i takiego prawodawstwa, abyśmy w kraju naszym mogli się narodowo i gospodarczo rozwijać, żeby dla nas nie było rządu bez ustaw i ustaw bez rządu, ale zgrane społeczeństwo pojmujące zarówno swe prawa jak i obowiązki.

Oto najważniejsze żądania pod adresem rządu członków PSL, zebranych pod wodzą Stapińskiego w r. 1896 w Tarnowie. Niektóre z nich są już dzisiaj nieaktualne, bo dawno są spełnione; inne są niejasno i ostrożnie sformułowane, inne zaś wydają się nam dzisiaj — z perspektywy 50 lat — przestarzałe, nieporadne lub nawet naiwne. Ale wtedy, gdy lud był odarty z wszelkich praw, gdy pomiatano nim wszędzie: w urzędach, w sądzie, nieledwie w kościele — żądania owe były śmiałe i wywodziły się z prawdziwego pragnienia przyjścia z pomocą ludowi i wywalczenia dla niego ludzkiego traktowania w państwie.

W roku 1902 **Bolesław Wysłouch,** wielki przyjaciel chłopów, który redagował „Przyjaciela Ludu" we Lwowie, oddaje to pismo Stapińskiemu, a ten przenosi je do Krakowa. Był po temu najwyższy czas, bo praca i zasięg działalności stronnictwa ludowego koncentrował się w Galicji Zachodniej. Tu Stapiński z właściwą sobie energią urządziwszy się jak najskromniej organizuje administrację pisma i pokonując często wielke trudności robi wszystko, ażeby „Przyjaciela Ludu" postawić na wysokim poziomie. Zdobywa dla pisma wartościowych korespondentów, jak **Bojkę i Szarka** i zjednuje pouczającymi i urozmaiconymi artykułami wielkie ilości czytelników. W miejscu miłym i zacisznym przy ulicy Reformackiej w Krakowie pracował Stapiński przy biurku redakcyjnym przeszło 20 lat. Stamtąd płynęły do ludu jego wskazania i odezwy, tam przyjmował rzesze interesantów włościan.

*) Jakub Bojko: „Dwie dusze", str. 10.

**) To miejsce urodzenia podaje St. Szczepański w broszurze: „Z dziejów ruchu ludowego" strona 12. „Dziennik ludowy" podał w pośmiertnym wspomnieniu Jabłonice Polska, jako miejsce urodzenia Stapińskiego. Gdzie się zatem Stapiński urodził?

*) St. Szczepański: „Z dziejów ruchu ludowego" Kraków 1924, strona 16.

DM 57/02

Ale właściwa rola Stapińskiego była nie przy biurku, lecz na estradzie, na oczach zgromadzonych tłumów, które słuchały go z zapartym tchem. Był wspaniałym, efektownym mówcą i doskonałym znawcą chłopskiej psychiki. Potrafił nie tylko słuchaczy rozkołysać ale i uspokoić, gdy było potrzeba. Trzymał słuchaczy — jak kto mówią — „w garści" i władał nimi jak nikt inny.

Pamiętny był jeden z kongresów w Krakowie, na którym pokazał zebranym tłumom autentyczny pańszczyźniany harap, którym niegdyś chłostano we dworach chłopów. „Ekonomski bat" zrobił wówczas należyte wrażenie i osiągnął spodziewany efekt.

Ujemną stroną ówczesnego ruchu ludowego było nieporozumienie między ks. Stojałowskim a Stapińskim czyli między mistrzem a uczniem — nieporozumienie, które przerodziło się z czasem w otwartą walkę między tymi utalentowanymi wodzami ludu.

Ks. Stojałowski upierał się przy nazwie „Chrześcijańsko - ludowego" stronnictwa, Stapiński zaś nie miał ochoty na tę nazwę, bo, jak mówił, nie chciał mieć tej gwiazdki na czole i żądał, ażeby nazwa „chrześcijańskie" nie sprowadzała chłopów na manowce i nie stała się zarodkiem jakiegoś stronnictwa klerykalnego.

Ostateczne zerwanie między ks. Stojałowskim a Stapińskim nastąpiło w r. 1895 po wyborach do sejmu, w których stronnictwo ludowe dzięki ks. Stojałowskiemu, przebywającemu wówczas w więzieniu, ale mającemu na chłopów nieograniczony wpływ, — uzyskało 7 mandatów, bo wybrani posłowie przeszli do obozu ludowców.

Największy rozwój Polskiego Stronnictwa Ludowego i największe powodzenie Stapińskiego przypada na rok 1907, kiedy to w czasie wyborów wprowadził Stapiński do parlamentu austriackiego 18 posłów. Było to już jednak ostatnie większe zwycięstwo osiągnięte dzięki energii Stapińskiego. — „Chłopi, wybierajcie chłopa" i „jednajcie czytelników („Przyjaciela Ludu"), by rosła siła na Stańczyków" — oto hasła, którymi Stojałowski jednał wyborców. Wkrótce za cenę pomocy przy wyborach nastąpiło zbliżenie Stapińskiego do konserwatystów i rzucił on nowe hasło: „Rolnicy wielcy i mali łączcie się" — które już nie znalazło u chłopów posłuchu. Jak daleko posunął się Stapiński w sojuszu z konserwatystami i co przez to na dalszą metę chciał osiągnąć — trudno odgadnąć.

Kongres PSL w Rzeszowie w r. 1913 nie rozgrzeszył go z tych jego win (czy tylko niezręcznej taktyki) i kilkunastu posłów z Bojką i Witosem na czele opuściło salę obrad i założyło nowe PSL. Od organu tego stronnictwa — tygodnika „Piast" nazwano ich piastowcami.

Odtąd już młody, zdolny i ruchliwy Witos brał w kraju górę nad Stapińskim, chociaż ten ostatni nie dawał się zdystansować. Nastąpiła długa i uparta walka między tymi dwoma stronnictwami ludowymi i ich przywódcami, która przez kilka lat zatruwała życie polityczne w kraju i stawiała chłopa przeciwko chłopu, a którą przerwała na parę lat pierwsza wojna światowa, gdy Stapiński zawiesił na jakiś czas wydawanie „Przyjaciela".

Po wojnie wraca Stapiński znów do życia politycznego, wznawia wydawanie swego organu i w niepodległej już Polsce zdobywa w swoim okręgu krośnieńskim mandat poselski. Bierze także żywy udział w tworzeniu gabinetu w t.zw. rządzie lubelskim, desygnując do niego swojego przyjaciela posła Wójcika na stanowisko ministra. Zabiera także kilka razy głos w sejmie polskim, wygłaszając pełne swady okolicznościowe przemówienia. Większej jednak roli w życiu politycznym niepodległej Polski już nie odegrał.

Nie ma dziś politycznie uświadomionego chłopa, któryby ze Stapińskim nie pracował, z jego szkoły politycznej nie korzystał, lub — gdy należał do innego stronnictwa — Stapińskiego nie zwalczał. Miał on wśród chłopów serdecznych, oddanych mu bezgranicznie przyjaciół, miał także jako człowiek odważny i bezkompromisowy wielu wrogów.

Był czas, że wszystko, co stanowiło śmietankę z chłopów i z inteligencji ludowej, tworzyło sztab „Stapińszczyków" i on sam umiał sobie dobierać współpracowników tak w stronnictwie jak i w swoim organie. „Przyjaciela Ludu" redagowali okresowo: J. Bojko, Józef Sanojca, dr Józef Putek i St. Szczepański. Pisywali w nim dużo: Wincenty Witos, Fr. Wójcik, Michał Olszewski, Jan Sobek, Józef Kaźmierczak i wielu innych.

Osobiście poznałem Stapińskiego dość późno już u schyłku jego kariery, bo w roku 1925 na wiecu w Szczurowej, w powiecie brzeskim. Stapiński zaczął pięknie mówić, cóż skoro chłopi piastowcy nie dali mu dokończyć przemówienia i musiał zejść z trybuny, co mnie bardzo zdziwiło, bo był czas, że może ci sami chłopi szliby kilka mil za nim na wiec, ażeby móc go posłuchać. Drugi i ostatni raz widziałem się z nim w roku 1932 na pogrzebie jego serdecznego druha, pierwszego prezesa klubu posłów ludowych w sejmie, dr. Szymona Bernadzikowskiego w Brzesku.

Szliśmy razem za trumną, ale Stapiński nie chciał nad świeżą mogiłą przemawiać, bo się żalił, że mu już nie dopisują nerwy. Opowiadał, że pisze pamiętniki i poprawia jakieś szpargały Bojce. Rzeczy te nie ukazały się dotychczas w druku i być może, że w czasie wojny zaginęły. A wielka szkoda, bo byłyby to wynurzenia nadzwyczaj ciekawe a zapewne i pouczające. Jan Stapiński był politykiem i redaktorem w dużym stylu. A jako poseł, redaktor i człowiek oddawał się ludowi cały, bez reszty. Podobny raczej z wyglądu do hreczkosieja niż polityka nie był nigdy dumny z siebie i równie swobodnie rozmawiał z przyjacielem jak i swoim wrogiem.

Bardzo ładnym gestem z jego strony było odwiedzenie w szpitalu swego niegdyś ucznia, przyjaciela, współtowarzysza i przeciwnika, a potem premiera i więźnia brzeskiego, Wincentego Witosa. Złączyły się z powrotem ich dłonie, długo w nieprzyjaźni zaciśnięte. Niedługo po ich rozmowie przeniósł się duch Witosa w zaświaty, a wnet podążył za nim i duch Stapińskiego. Umarł w lutym 1946 roku w szpitalu w Krośnie. zadając przez to na łożu śmierci kłam tym, co go o jakieś bogactwa zarobione na polityce pomawiali.

Z jego śmiercią skończyła się jedna karta historii ruchu ludowego poczętego jeszcze pod zaborem, w Galicji, a który potem rozszerzył się w Polsce niepodległej.

Maciej Czuła

Zygmunt Kałużyński

„Chłopska krew" — opera ludowa w Jeleniej Górze

W drukowanym w N-rze 42 „Wsi" artykule „Teatr ludowy na przełomie" Bartłomieja Bigorajskiego, który w krótkim przeglądzie porusza mniej i więcej złożone zagadnienia współczesnej sceny ludowej, od problemu ideologicznego począwszy, na przeglądzie kilku najświeższych zdarzeń teatru ludowego kończąc, znajduje się także krótka i raczej negatywna ocena przedstawienia „Chłopskiej krwi", „chłopskiej opery", wystawionej w lipcu w Jeleniej Górze staraniem miejscowej Spółdzielni Gminnej Samopomocy Chłopskiej. „Śmiało możnaby — pisze autor — określić cały wysiłek jako zmarnowany, gdyby nie jeden moment — moment groteski w III-cim akcie. W czasie oberka podchmielonej starej Marcinowej z byłym kłusownikiem Staszkiem w świetlicy — w ferworze tanecznym Staszek przewraca Marcinową, że aż zadziera do góry nogi — ku przerażeniu reżysera, a radości pękającej ze śmiechu widowni." Ten jeden motyw uważa autor za dodatni, upatrując w rozbudowie groteski przyszłość teatru ludowego, który powinien przemawiać do poczucia komicznego widzów i dopiero wykorzystywać rozbawienie dla celów dydaktycznych, czy artystycznych wyższych. Dla poparcia tezy, że taki właśnie teatr będzie współczesnym, przytacza Bigorajski wiadomości o teatrach paryskich po wojnie, opanowanych przez najosobliwsze rodzaje groteski.

Jest to oczywiście wniosek bardzo dowolny; sytuacja sceny francuskiej, wyrafinowanej, wyrosłej w najzupełniej innych warunkach historycznych i służącej innym klasom społecznym, nie tylko nie powinna, ale nawet nie może służyć nam przykładem. Może zresztą autor nie chciał swej propozycji aż tak daleko posunąć, by nas namawiać do naśladowania dziwactw artystowskich teatrów paryskich, a jedynie pragnął stwierdzić, może koloryzując przesadnie, że komizm uważa za podstawowy warunek teatru ludowego. Teraz bardziej zrozumiały staje nam się ton przekąsu, z jakim stwierdza, że sztuka była „wydarzeniem na Dolnym Śląsku"; niewątpliwie bowiem zamierzeniem inscenizatorów było dać utwór poważny, utwór serio, w większym stopniu, niż to bywało dotychczas w tego typu przedstawieniach. Nie unikali oczywiście dowcipu, a nawet groteskowego kawału, jednak punkt ciężkości w ich ambicjach niewątpliwie się przesunął. Bigorajski w tym wypadku wystąpił jako rzecznik tradycyjnego, od lat zakorzenionego sposobu podejścia. Poruszył ten temat również Jan Marszałek w rzeczowym artykule „Teatr na wsi" („Wieś"), w którym zbiera rezultaty wieloletniej obserwacji i praktyki; Marszałek stwierdza, — bez wypowiadania żadnych dezyderatów, po prostu notuje fakty: „Widz chłopski ma specjalne wymagania od teatru. Sztuka musi go bawić, musi mieć ciętość satyry, a jednocześnie komizm popularnych widowisk cyrkowych. Jeżeli spróbujemy w teatrze wiejskim wystawić sztukę całkiem „na poważnie", to możemy być zgóry przygotowani na „klapę". Widownia będzie niespokojna, wybuchać będzie śmiechem w najmniej do śmiechu nadających się scenach. Wystarczy w takiej poważnej sztuce jakieś drobne potknięcie się aktora, samo nawet ukazanie się nowej postaci by z widowni ni stąd ni zowąd posypały się mniej lub więcej dowcipne uwagi, a za nimi chóralne śmiechy całej publiczności. Na utrzymanie dostatecznego nastroju nie można już w tych wypadkach liczy."

„CZY „CHŁOPSKA KREW" TO RODZAJ NOWY?

Wynikałoby z tych zastrzeżeń Bigorajskiego, że jego zdaniem główną wadą „Chłopskiej krwi" obok zresztą innych braków, które wylicza, jest zbytnia powaga i że eksperyment nie udał się. Niewątpliwie opinia ta jest krzywdząca, a wzmianka w artykule ogólnikowa i zbywająca. Ale nawet ten nieprzychylny autor nie zaprzecza, że przedstawienie wywołało „wielkie zaciekawienie", i było „wydarzeniem na Dolnym Śląsku". Potwierdzają to zarówno recenzje i wzmianki (nieliczne niestety) w „Pionierze", „Trybunie Dolnośląskiej", a nawet w pismach centralnej Polski, wreszcie wypowiedzi autorów przedstawienia, którzy ambitnie stwierdzają, że „Chłopska krew" Łazarka jest „pierwszą sztuką teatru chłopskiego po wojnie po ich myśli, jest bowiem próbą stworzenia opery związanej z życiem współczesnego chłopa". Już takie postawienie sprawy wystarczyłoby, by się autorami widowiska zająć, wobec ciągle trwającego zastoju i ubóstwa teatrów ludowych po wojnie.

Kim są oni? Alojzy Łazarek, to chłopsamouk, muzyk amator; nosił się dawno z myślą stworzenia sztuki muzycznej chłopskiej, i skorzystał wreszcie z pomocy Józefa Krajniaka, również z pochodzenia chłopa, nauczyciela, literata, który napisał libretto „Chłopskiej krwi". Rezultatem współpracy autorów, rozwijającej się w konspiracji w czasie wojny, była właśnie opera, którą oglądaliśmy w Jeleniej Górze. Tam bowiem, na Dolnym Śląsku, Łazarek uzyskał pomoc miejscowego Zw. S. Chł.; po porozumieniu się z warszawską centralą, przedstawiciel Zarządu miejscowej Spółdzielni, Władysław Kurbiel, wystarawszy się o kredyty, wziął się sprężyście do dzieła. Projekt, wydawałoby się, fantastyczny. Pamiętamy, jak trudno było przed wojną zbudować choćby jeden teatr operowy w stolicy, — jak Opera warszawska mogła grać ledwie parę miesięcy w roku, bo miasto nie było w stanie utrzymać takiego aparatu. Rzeczywiście, opera wymaga licznego chóru, specjalnie kształconego baletu, którego uczestnicy od dziecka powinni ćwiczyć się w niełatwej sztuce tańca scenicznego, orkiestry złożonej z licznych i wprawnych instrumentalistów, wreszcie solistów o silnych głosach i wyraźnej dykcji. Skąd znaleźć to wszystko w Jeleniej Górze, na ledwie od roku zaludnionej ziemi, rozporządzając nader skromnymi środkami finansowymi? Skąd wziąć primabalerinę, tenora, sopran, skoro nawet w dużym mieście nie znajdzie się dziś przyzwoity solista? A jednak Łazarek zdołał skonstruować wszystkie te potrzebne elementy, i to już go dostatecznie kwalifikuje jako działacza teatru ludowego muzycznego. Afisz informuje nas dostatecznie, skąd wzięli się entuzjaści nowego teatru, bez których udziału widowisko nie doszłoby do skutku: **„Chór Parafialny** w Jeleniej Górze pod kier. Tomasza Czapli. **Balet Kursu Dokształcającego** w Chojnastach pod kier. Józefy Reczuch. Orkiestra Związku Muzyków RP., oddział w Jeleniej Górze..." a muzycy ci, to podobno przypadkowi instrumentaliści, zazwyczaj występujący po kawiarniach, gorąco namówieni przez dyrygenta do udziału w kilku przedstawieniach. Bo na więcej organizatorzy nie liczyli, a i te parę z sukcesem wykonanych spektakli przyprawiały ich codzień o ciężkie poty. Do ostatniej chwili nie wiadomo, czy tancerze, zatrudnieni na kursie, zdążą przyjechać na czas; czy muzyk, niezbędnie potrzebny, nie zawiedzie, bo mu się właśnie nadarza okazja zarobienia w mieście; czy chór nie ma nabożeństwa wieczornego... To samo wykonawcy poszczególnych ról, najzupełniej prywatne osoby, tkwiące za dnia po biurach i szkołach, i namówione przez kompozytora do udziału, amatorzy, często nut nie znający, których trzeba było uczyć techniki śpiewu, dużych solowych partii, a nawet duetów i tercetów! Należy bez blagi stwierdzić, że nawet talent reżyserski i instruktorsko - muzyczny Łazarka czy organizacyjny Kurbiela nie zdałby się na wiele, gdyby nie fakt, że owi przypadkowi amatorzy zapalili się z rzadkim dziś entuzjazmem, i już chcą drugą i trzecią operę przygotować, a nawet własny teatr założyć! Ten znowu fakt jest radosnym potwierdzeniem, że robota kulturalna ma nieodpartą siłę atrakcyjną, szczególnie w świeżym środowisku socjalnym.

TŁO LITERACKIE OPERY

Przede wszystkim trzeba dla ścisłości stwierdzić, że nazwa „opera" jest za szeroka w stosunku do przedstawienia, o którym mówimy. Wyraża ona raczej ambicje autorów, niż osiągnięcia, i podkreśla ów ton powagi, który nie odpowiada Bigorajskiemu. Trudno jednak nazwać tę sztukę tylko melodramatem; zawiera ona wszystkie charakterystyczne części konstrukcji operowej: uwerturę, balet w środkowym 2-gim akcie, arie głównych bohaterów i duet dwojga kochanków w centralnym punkcie akcji, wreszcie muzycznie rozbudowany szeroko finał z suitą tańców i chórami wykonanymi przez cały zespół, „ensemblami", — nieposuwający już akcji naprzód, a tylko stanowiący pretekst do bogatego muzycznie wyśpiewania się, jak w czwartym akcie „Strasznego dworu". Ale prostota melodyjna z jednej strony, wtręty tekstowe (mówione), z drugiej sprawiają, że jako opera „Chłopska krew" jest rodzajem niepełnym, zbliża się do komedio-opery czy melodramatu „z tańcami i śpiewami", jak np. „Krakowiacy i Górale" Bogusławskiego - Kamińskiego.

Libretto liczy trzy akty, oparte jest na jednym z popularnych schematów sztuki „ludowej". Utworów podobnych możemy wyliczyć parę dziesiątków w ludowej biblioteczce dramatycznej; jest to schemat „spółdzielczy", treścią takiej sztuki jest założenie komórki organizacyjnej, czy oświatowej we wsi. Znajduje się ktoś, kto takiej pionierce społecznej przeszkadza; bywa to ksiądz, albo starzy zacofani chłopi, czy grupa niesfornych mącicieli. Ale trudności udaje się przezwyciężyć, i sztuka kończy się pomyślnym założeniem świetlicy, czy podobnej instytucji. Ten motyw w tearze ludowym znany jest nie tylko u nas, występuje np. w propagandowych sztukach radzieckich, przeznaczonych dla teatru popularnego, ukazujących zmagania nowego systemu z drobnym sabotażystą, chuliganem wiejskim, czy wrogiem politycznym. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że utwór ten upraszcza, schematyzuje stosunki na wsi, ukazuje je w świetle naiwnych pedagogicznych, pobożnych życzeń; wrażenie to podkreślone jest przez sztuczność budowy i — zazwyczaj — lichotę literacką, np. występuje z reguły para kochanków, wplątana w akcję, i łącząca się szczęśliwie w zakończeniu. Słyszy się czasem zdania, że ten tradycyjny temat teatru ludowego pochodzi nie od ludu, a od moralistów z poza wsi, od naiwnych polityków, z plebanii, z izby nauczycielskiej,— podobnie zresztą jak inne banalne schematy „sztuczki ludowej", powstałe w okresie „oświecania ludu", gdy Anczyc pisał swoje bluetki, np. schemat „żołnierski" („Jak kapral Szczapa wykiwał śmierć", — propaganda patriotycznej służby wojskowej). Opinia to nie całkiem słuszna; szablon ten oddaje pewną prawdę, którą w znacznie surowszej, życiowo (i artystycznie) bardziej przecież prawdziwej formie ukazuje „Młode pokolenie chłopów". To zagadnienie tęsknoty za wyższą formą życia zbiorowego, za klubem wiejskim, niewątpliwie żyjąca na wsi chęć podciągnięcia się społecznego przez organizowanie się towarzyskie i samokształcenie. Sprawa

„świetlicy" nie jest sztucznym, naiwnie narzucanym z zewnątrz elementem; jest to pierwszy szczebel, do którego zmierzają ambicje klasowe: „coś u nas założyć". Sztuka ta odbija, również w schematycznym uproszczeniu, jeszcze jedną prawdę: o destrukcyjnej roli „bandy", grupy wyrostków wiejskich, którzy potrzebę życia towarzyskiego wyżywają w awanturach i dotkliwych dla wsi „figlach", nierzadko tworząc w rezultacie bandę prawdziwą, już wkraczającą w przestępstwo, w kolizję z prawem. I tutaj, w librecie „Chłopskiej krwi" bohaterem jest Staszek, kłusownik. Kocha on Hankę, dziewczynę, która ukończyła szkołę w mieście, ale świadomie wraca na wieś i ambicję swoją obraca na służbę środowisku z którego wyszła. Ojciec jej jest leśnikiem; myśli on o dalszym awansie dla córki, pragnie ją wydać za Wojtka, reemigranta, który wrócił z pieniędzmi z Ameryki, i chodzi w białych spodniach i z zegarkiem na ręku. Ale Hanka czuje odrazę do wyemancypowanego chłopa, który zatracił „krew", i woli kłusownika Staszka. Rodzice stawiają warunek: jeśli kłusownik rzuci życie nieporządne, i założy we wsi świetlicę, oddadzą mu córkę. Pod wpływem miłości i ambicji w Staszku następuje przemiana; sztuka kończy się połączeniem kochanków w nowozałożonej świetlicy, pośród portretów pisarzy i wielkich Polaków. Amerykanin, choć stracił czerstwość i „chłopską krew", znajdzie dla siebie partię odpowiedniejszą, — będzie to Janka, nauczycielka, o pretensjach bardziej „miastowych", ale również osoba pożyteczna; gromada przyjmuje chętnie obydwie pary, przydadzą się i ci „z chłopską dobrą krwią", ale i owi trochę snobowie zmieszczaniali też są poczciwi i kończy się na tym, że nieco z nich pokpiono; teraz „wszyscy będziemy pracować wspólnie dla przyszłej wsi".

Ale nie librecista jest właściwym autorem tego przedstawienia, i nie nauka płynąca z tekstu sztuki jest jej głównym tematem. (Zresztą w samym tekście widać większe niż zwykle ambicje, — by sprawę traktować poważnie, nawet dramatycznie, — w takim tonie jest akt pierwszy, co odbiega od przyjętego stylu „rozbawiania" widzów, czasem aż błazeńskiego, — cecha zdaniem Bigorajskiego i Marszałka konieczna). Wszystko, co jest w tym temacie „serioso", zostało pogłębione jeszcze przez kompozytora. Temu libretto posłużyło za pretekst, — by dać poważny, sentymentalny nawet obraz „serca chłopskiego". Ambicja powagi, czasem patosu, połączyła się z chęcią „popularności"; autor pragnął swych widzów przyciągnąć i dostosować się do nich, ale bynajmniej nie atrakcyjnością komizmu. Łazarek doszedł do wniosku, że najłatwiejszy do zrozumienia, a zarazem odpowiadający powadze tematu, będzie styl moniuszkowski, i to nie całego Moniuszki, a tych właśnie partii, które chłopi uważają za „swoje", w najbardziej powszechnym znaczeniu. Tam wszędzie, gdzie Moniuszko zachowuje prostotę pieśni ludowej, często powtarzając motyw i refren, i tylko podbudowując temat muzyczny łatwą do zrozumienia harmonizacją, tam wszędzie przemawia do szerokich rzesz słuchaczy chłopskich. Łazarek zauważył, że chłopi uważają za swoje nie np. arie i duety z „Halki", mimo ich ludowego niewątpliwego motywu, — ale rozbudowanego, udramatyzowanego, wysubtelnionego, — lecz takie partie, jak „Tańce góralskie", o jednej prostej melodii, z prostą harmonizacją, z prostym i jednolitym, jednoznacznym wyrazem uczuciowym (werwa, sentyment...). Z Szymanowskiego najpowszechniej rozumieją „Pieśni kurpiowskie", a za trudne są, nie docierają do tych słuchaczy artystowskie przekształcenia pieśni ludowej w „Harnasiach" czy „Mazurkach" (fortepianowych).

Oparłszy się na tym spostrzeżeniu, Łazarek stworzył rzecz dość osobliwą. Napisał całą operę wykorzystując ledwie trzy czy cztery autentyczne motywy ludowe, — resztę zaś komponując **na wzór**, w stylu najpopularniejszej pieśni ludowej. Podbudowywał te proste i łatwe do zapamiętania melodie, podparte częstymi refrenami, — tradycyjną, banalną czasem harmonizacją, pochodzącą ze stylu moniuszkowskiego. Z dziwnie mieszanym uczuciem słucha się takiego np. motywu, łączącego ludowość z łatwością i z owym dobrze nam znanym, łechczącym serce polskie sentymentem jakiejś jakby „Pieśni wieczornej" („Po nocnej rosie leć wdzięczny głosie") Moniuszki:

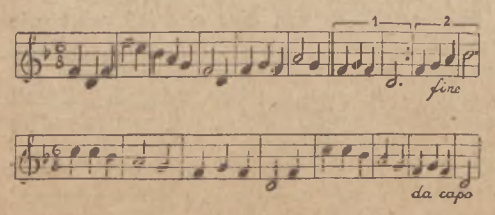

Będziem uprawiać nasz łan ojczysty, tu nasza ziemia, nie rzucim jej.

Jest to zarazem główny motyw „Chłopskiej krwi", występujący najpierw w uwerturze, ozdobiony jednostajnym, spokojnym akompaniamentem klarnetu, potem rozbudowany w wielkim duecie drugiego aktu, śpiewanym przez głównych bohaterów-kochanków, Staszka i Hankę. Tak więc libretto posłużyło Łazarkowi za pretekst do muzycznej, sentymentalnej gloryfikacji chłopskiej krzepkości i chłopskiej uczuciowości, wiążącej się z ziemią rodzinną i grupą społeczną; są to uczucia bliżej niezdefiniowane, ani patriotyczne, ani klasowe, choć zapewne i jedno i drugie ma w tym udział; szło tu raczej o ogólnikowe wzruszenie, uszlachetniające i pochwalające „chłopskie serce", w formie która do wszystkich łatwo przemówi.

REALIZACJA ARTYSTYCZNA

Przedstawienie było niewątpliwie wynikiem kompromisu, nie mogli być inscenizatorzy ze wszystkiego zadowoleni. Gościna jaką udzielił im teatr miejscowy, wyszła jak najgorzej „Chłopskiej krwi" na zdrowie. Nie tylko dlatego, że fachowcy niechętnym okiem patrzyli na ambitnych amatorów, że dyrektor teatru nie szczędził trudności, do tego stopnia, że Spółdzielnia ZSCH musiała dostarczyć obiadów całemu zespołowi technicznemu teatru, bo dyrekcja nie zgodziła się karmić swych pracowników w te dni, gdy służą oni „Teatrowi Ludowemu ZSCH w Jeleniej Górze". Również fakt, że realizatorzy zmuszeni byli korzystać z pomocy dekoratora, elektrotechnika itd. teatralnych, — zresztą bardzo życzliwych i jak najlepszą wolą obdarzonych, — zmusił ich do kompromisów, obnażających wszystko co szablonowe i przykre w sztuce. Stąd właśnie wysokie obcasy Hanki, banalność kostiumów „ludowych", — które tak nie podobały się Bigorajskiemu. Stąd styl dekoracji z malwami i opłotkiem, malowanych na kulisach z dykty, z konwencjonalnym „lasem", dżunglą splątanych efektownie tektur, itd. itd. Ta drugorzędna w stylu pretensjonalność podkreśliła, wbrew woli autorów, wszystko co było fałszywie zapożyczonego, wtórnego, sztucznego, literackiego, naśladowanego w ich pracy. A że i w tekście, i w muzyce jest owego schematycznego elementu nie mało, że pogłębił go autor przez zbędne wstawki „operowe", — uwerturę muzycznie niekoniecznie świeżą, balet duchów i boginek leśnych, wykonany przez tancerzy - amatorów pełnych zapału, lecz technicznie nieświetnych, — ta realizacja artystyczna w przypadkowych prowincjonalnych warunkach miejskich, pogłębiła jeszcze słabe strony. Ten błąd był do uniknięcia, gdyby autorzy rozporządzali własnym zespołem ludowym, choćby takim, jakie miewał Cierniak, — zespole o własnym, wypracowanym stylu i obliczu.

ZNACZENIE „CHŁOPSKIEJ KRWI"

Spróbujmy teraz ocenić to niecodzienne przecież, mimo wszystko, zdarzenie, w skali ogólnokulturalnej. Przyłóżmy do niego miarę najwyższych pretensji. Skonfrontujmy np. „Chłopską krew" z postulatami, wysuwanymi wobec współczesnej kultury ludowej.

Już samo libretto obudziłoby zapewne dziesiątki wątpliwości. Czy nie jest ono wyrazem zamkniętych klasowych ambicji, nie dopuszczających czynników zewnętrznych, gloryfikujących własną etykę i właśne tylko cnoty? „Amerykanin" Wojtek, wykpiony trochę, jako reprezentant „zepsutej krwi", jest właśnie wysłannikiem szerokiego świata, reemigrantem, chłopem który widział już niejedno, i do stylu życia wsi i kultu chłopskiej krzepy odnosi się sceptycznie. Mówi o pięknym, zorganizowanym, przemysłowym życiu; autor opatruje jego słowa jakby komentarzem ujemnym, bo Wojtek psuje idyllę wiary w przewagę chłopskiego serca nad innymi sukcesami świata. Przeciwstawiona mu jest Hanka, dziewczyna wychowana w mieście, która jednak na wieś wraca, tu chce pomagać, i właśnie pociąga ją klasowa chłopska ambicja „zamkniętej grupy". Czy więc autor chciał bronić tej zastarzałej koncepcji przeciw atakom współczesności? Ale skądże! Przez myśl mu to nie przeszło, nie przypuszczał przez chwilę, że będzie „niewspółczesny", czy nawet „wsteczny". Chciał poprostu dać jak najwięcej ognia i pasji, by podkreślić wszystko co jest pozytywne w życiu jego klasy, i przypadkowo użył takiego właśnie chwytu, że cienie, znaki minusa padły na reprezentanta, mimowolnego zresztą — industrializacji, urbanizacji, postępu. Ten sam zresztą Wojtek pod koniec „nawraca się" i zostaje przyjęty przez swoją grupę; może niedługo będą budowali murowane domy i maszyny? Nic nie przeszkadza takiemu przypuszczeniu. Sztuka, którą widzimy, załatwia najpilniejszą potrzebę wsi w tej jej fazie rozwoju, w jakiej się ona obecnie znajduje: potrzebę skupienia grupy, klasowej pewności siebie, wiary we własne możliwości, przywiązania do swojej przyszłości.

Dalej teraz: czy odzwierciadla ów teatr aktualną sytuację społeczną i historyczną chłopa, czy pokazuje jego walkę, politykę, zwycięstwo pod okupacją? Również nie zaspakaja sztuka tego postulatu społecznego; dzieje się ona może przed wojną? a może współcześnie? a mogło tak być i za „ruskiego", i za księdza Stojałowskiego. Ale autor czuł potrzebę zaktualizowania utworu, dostosowania go do sytuacji; rolę tę spełniają krótkie przemówienia hasłowe, „spicze", wygłaszane pod pretekstem akcji przez poważniejsze postaci: wypowiadają one wiarę w chłopa, potrzebę jedności, pracy dla swojego kraju. Sformułowanie ich bywa takie, że za rządów sanacyjnych trąciłyby propagandą Stronnictwa Ludowego; dziś, gdy można chłopskiej władzy żądać otwarcie i mówić znacznie więcej, są może za skromne i za powściągliwe.

Ale wydźwięk libretta mniejsze ma znaczenie od ideologii wpisanej w kompozycję i przesiąkającej cały utwór. Tej wydźwięk jest niewątpliwie dodatni. Oczywiście, możnaby z przesadnie wyostrzonym zmysłem śledczym i tu dopatrywać się spóźnienia społecznego, gloryfikacji zamkniętej grupy i kultu ziemi wraz z właściwymi temu kultowi formami etycznymi. Ale nie ma potrzeby tego robić; raczej należy inną interpretację rozbudować, i w przyszłych przedstawieniach „Chłopskiej krwi" na nią nacisk położyć. „Jesteśmy chłopami, jesteśmy silni, jesteśmy narodem; ziemi naszej nie opuścimy, bo to najlepsze co robimy w kraju i dla kraju", tak możnaby naiwnie streścić rezultat, osad, jaki zostawiają nastroje tej kompozycji; jest on aktualny zawsze, a pod rządami chłopsko - robotniczymi stokrotnie. Nie domagajmy się wyraźniejszego ideologicznego sprecyzowania; działanie muzyki nie konkretyzuje się dokładnie, a stwarza tylko atmosferę uczuciową; tej tutaj gorąco przyklaśnie każdy szczery ludowiec.

Spróbujmy teraz skonfrontować naszą chłopską operę z postulatami artystycznymi ogólnopolskimi o wysokim diapazonie. Sformułowane one zostały w referacie L. Schillera „Najpilniejsze zadania teatru polskiego" („Myśl Współczesna", Nr 3—4), i „Konspiracyjna Rada Teatralna" („Teatr", 1—2). Mowa tam o nowoczesnej scenie dla mas, która byłaby awangardową placówką demokratycznej sztuki teatralnej, szkołą wychowania moralnego, kulturalnego i politycznego. Już nie anczycowskie, antyludowe w gruncie sztuczki „repertuaru dla ludu", a najwartościowsze arcydzieła współczesnego i dawnego dramatu byłyby tu udostępnione w nieskazitelnej artystycznie formie. Schiller wyróżnia osiem typów przedstawień, prowadzących widza od łatwiejszych, przystępniejszych widowisk, melodramatów, wodewilów, komedioopery ludowych o szlachetnych tendencjach demokratycznych, poprzez cykle faktomontaży historycznych, „Dzieje demokracji polskiej", zamykających w specjalnie napisanych dziesięciu widowiskach historię naszych myśli i walki postępowej, poprzez sztuki o treści polityczno - historycznej, aż do szczytów dramatyki romantycznej i klasycznej, polskiej i obcej. Tak daleko zapewne autorowie „Chłopskiej krwi" myślą nie sięgali, pracy swojej za szczebel w tym planie nie uważali. Niemniej, bez ich świadomości, tym szczeblem ona jest. Mieści się ona znakomicie w pierwszym punkcie planu Schillera, jako popularny i dostępny dla szerokiej masy widzów chłopskich, artystycznie zaś udany, po drobnych retuszach i skorygowanej inscenizacji, — współczesny melodramat ludowy. Godnie ona tam stanie obok wyliczonych przez Schillera starych wodewilów Nestroya i Raimunda, obok „Dwóch sierot" d'Enneryego, „Przekupki warszawskiej" Bełcikowskiego, a nawet obok „Godów weselnych" i „Krakowiaków i górali", jako może bardziej naiwna, ale przecież żywa odmiana chłopskiego teatru muzycznego, — bo wymienione przez autora utwory w przewadze tyczą repertuaru raczej dla ludu miejskiego.

Na zakończenie podkreślić należy, że „Chłopska krew", mimo wszelkich zastrzeżeń stanowi postęp, który w stosunku do sytuacji naszego teatru ludowego należy określić jako znaczny. W okresie, gdy pisze się i mówi wiele rzeczy słusznych o teatrze ludowym, gdy sprawa ta jest poważnie dyskutowana i planowana w zakresie bez porównania szerszym niż przed wojną, gdy „w górze", w Ministerstwie Kultury i Sztuki słyszymy do natręctwa o „teatrze masowym", — w zakresie praktyki trwa przecież ciągły zastój. Inicjatywa w Jeleniej Górze przychodzi „od dołu". Jest ona rezultatem potrzeby twórczej, nie częścią przygotowanego i przemyślanego planu. I stanowi niewątpliwy krok naprzód. Łazarek jest kompozytorem o dostatecznych zdolnościach, by mógł ambicjonować na punkcie popularnej kompozycji „miejskiej", piosenkarskiej, tanecznej, teatralnej. Owszem, przychodzi on do miasta (zresztą raczej przez lud w tym wypadku, niż przez mieszczan zamieszkałego), ale prowadzi za sobą swoją ambicję chłopską, i to jaką! **Chłopska Opera,** skomponowana autentycznie i aktualnie; a słowo „chłopski" i „ludowy" powtarza się na afiszu cztery razy. Łazarek jest niewątpliwie indywidualnością, utwór jego, przy wszystkich brakach, może być dobrą muzyczną sztuką popularną, dźwiga on „oddolny" teatr ludowy o stopień. Mogło to się stać tylko w takim ustroju społecznym, gdzie organizacja chłopów — Związek Samopomocy — dość jest silna, by podobną imprezę utrzymać; a jej wydźwięk? Trzeba widzieć, z jaką uwagą jeleniogórscy widzowie, szczelnie wypełniający salę, obserwują akcję, w skupieniu wysłuchują sentymentalnych aryj, odsapując głęboko dopiero, gdy śpiewak skończył, i klaszczący ze szczerego serca, gdy parobek Olek mówi po ognistym oberku: „Bo my wszyscy chłopi powinniśmy wziąć się do kupy i nie kłócić się już, tylko pracować ile sił starczy!".

Zygmunt Kałużyński.

TEATR LUDOWY

ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ W JELENIEJ GÓRZE
pod kierownictwem WŁADYSŁAWA KURBIELA

Wystawia w niedzielę dnia 11, poniedziałek 12 i wtorek 13 sierpnia o godzinie 19-tej w Teatrze Dolnośląskim, **operę ludową w 3-ch aktach** Alojzego Łazarka do słów Józefa Krajniaka, p. t.

CHŁOPSKA KREW

Obsada:

Ojciec, leśnik	Witold Radewicz	Kaśka, jego narzeczona	Alicja Mańska
Matka, jego żona	Janina Pierzchałowa	Jędrek, chłopcy wiejscy	Czesław Czerwiński
Hanka, córka	Wanda Bukowska	Bolek, chłopcy wiejscy	Zenon Jarkiewicz
Staszek, kłusownik	Lucjan Miłek	Marcinowa	Barb. Buchmanówna
Wojtek, reemigrant	Władysław Mróz	Zośka	Janina Wysocka
Janka, nauczycielka	Janina Zychówna	Józek	Zdzisław Ostrowski
Bartek, robotnik wiejski	Jan Kurbiel	Chłopcy i dziewczęta	

Kierownictwo artystyczne i reżyseria: **Stefania Domańska.**
Dekoracja: **Stanisław Jarocki.** — Kierownictwo literackie: **Wł. Kurbiel.**
Kierownictwo muzyczne: **Alojzy Łazarek.**

Chór parafialny w Jeleniej Górze pod kierownictwem Tomasza Czapli. Balet Kursu Dokształcającego w Chojnastach pod kierow. Józefy Reczuch. — Orkiestra symfoniczna Związku Muzyków R. P., Oddział w Jeleniej Górze, pod dyrekcją Alojzego Łazarka.

W OSTATNIM 45 (74) NUMERZE „WSI"
z dnia 17 listopada 1946

Jan Aleksander Król — **Z zielonej Anglii;** Dr Stanisław Papierkowski — **Veljko Petrović — najwybitniejszy współczesny nowelista sebski;** Veljko Petrović — **Ziemia;** Zygmunt Sierp — **Wiersze;** Stefan Baścik — **Warunki materialne studiów akademickiej młodzieży chłopskiej (II);** Piotr Stanisław Ziarnik — **Warszawa w dni grozy, ognia i patosu;** Czesław Janczarski — **Pierwszy wiersz; Fakty i zdania;** komunikaty, ogłoszenia, 7 ilustracji, 8 stron.

LUBIĘ swój Płock. Ze wszystkich miast starych w kraju — jakie znam — łączy on w sobie bezsprzecznie urok dawności z pewnymi znamionami współczesnego rozmachu. Są to rzeczy na pierwszy rzut oka wykluczające się, ale właśnie tajemnica Płocka na tym polega, że te sprzeczności w nim się harmonijnie układają. Zdaję sobie sprawę, że mówi przeze mnie odrobina partykularnego szowinizmu, jest to jednak uczucie całkiem konstruktywne: nie odmawiam wartości innym osiedlom, jednak to miasto stawiam na pierwszym miejscu.

Co tu dużo mówić: nie ma jak Płock.

Bo proszę — chcę zobaczyć szeroką ulicę, zieleń, drzewa, „kubaturę kubistycznych" bloków — słowem ostatni krzyk modnej architektury — idę na wschód. Chcę się upić poezją antyku polskiego, po ciasnych uliczkach starego miasta pogonić zagasłe cienie mieszczek suto ubranych, kapociastych kupców czy smukłych miejskich pachołków w kolorowych ciżmach o zawijanych do góry nosach: znajdę i to.

A z wysokiego brzegu Wisły, z cienia pod kasztanami, wśród których wynosi się ku płockiemu niebu czerwone mięso katedralnych murów — uśmiecha się do mnie historia. Jakieś dawne dzieje, coś pachnącego Kadłubkiem, czy innym mniej znanym i mniej oklepanym mistrzem. Szczególnie gdy spojrzę wzdłuż Wisły na północ.

Chodzę z przyjacielem, który mnie dziś odwiedził, po tym ulubionym mieście i tak bzdurzę mu te swoje nieważne wrażenia. Wiem, że tam gdzieś w głębi duszy swojej pokpiwa sobie z moich marzeń, ale tu w tym zachwycie najważniejszy jestem ja: uwielbiający Płock.

Siadamy na ławkach po napoleońsku — brzuchem do poręczy. Przed nami wysoki brzeg Wisły wymoszczony gęstymi krzewami ligustry, która zwiesza się płynnymi warkoczami ku dołowi, ku wodzie. A tam Wisła. Tarantowata od fal, prześwietlająca łysinami mielizn, obramiona liniami niesymetrycznych brzegów, leniwa i jakby sen na. Płynie w prawdziwą dal: sinoniebieską, w jakiś przydymiony szafir, w którym las, pole, woda i niebo stapia się, zlewa w jedno.

— Patrz przed siebie — mówię do przyjaciela w pewnej chwili — patrz jak najdalej. Widzisz te dalekie lasy trochę zamglone, widzisz te placki mielizn i ten prawy brzeg cokolwiek wygięty? Kiedy tam patrzę, zdaje mi się, że cofam się wstecz, ku jakimś walkom dawnych rycerzy, jakichś Grzymalitów z Nałęczami czy coś w tym rodzaju. Może jeszcze dawniejsze, jeszcze starsze. Więc — uważasz — przeprawa, szukanie brodu, konie parskają, woda chlupocze pod kopytami, dwoni zbroja, powiewają kolorowe proporce.

A tam na tym wzgórzu zalesionym pachołkowie rozbijają namiot, na polowym zydlu okrytym skórą niedźwiedzia pod białym orłem zasiada wąsaty kneź. Zacznie się sąd, narada, zabawa pucharami...

Wtedy on zaczął mówić, a ja ciekawie nadstawiłem ucha. Okazuje się, że każdy człowiek ma rację ze swojego punktu widzenia. Jeszcze inaczej: nie ma nieracji — jest tylko mniejsza racja. Tak jak fizyka mówi, że nie ma zimna, a jest tylko mniejsze ciepło.

*

Rodzina Kowalczyków mieszkała w Mołochowie. To tu niedaleko Płocka. Ojciec, matka i dwaj synowie: Franek i Stanisław. Całkiem zwyczajni ludzie wiejscy. Nawet nie bogaci, jakieś dwanaście czy

Teodor Goździkiewicz

Ilustr. St. Cieloch

GRZYMALITA

Janowi Łebkowskiemu

piętnaście morgów. Młodszego Staśka wola kalkulujących rodziców przeznaczyła do odziedziczenia majątku, kiedy starszy — Franek — orzekł kategorycznie, że wstępuje do wojska i do domu nie inaczej wróci jak tylko na urlop. Trudno, stało się. Starzy byli tego zdania, że tak, jak człowiek nie poradzi przeciwko temu, że po wiośnie nadchodzi lato, tak samo na nic się nie przyda opór rodziców przeciwko zdaniu dorosłych dzieci. Patrzyli przecież w tych synów, jak...

Franek był kapralem w ósmym pułku artylerii w Płocku. To się zdarza. I strzelał jak sam Apollo, co już jest rzadsze. Tytuł wyborowego strzelca oddawał tylko część jego talentu, natchnienia i pasji, jakimi dysponował. Z zawodów jeździł na zawody i zbierał triumfy, medale, odznaczenia i nagrody.

Wojna wyznacza mu najbardziej pospolitą — banalną po prostu rolę i ścieżkę. Wchłonęły go tryby mobilizacji, wyjechał gdzieś tam nad granicę, przyszło sromotne rozbicie, jeszcze sromotniejsza niewola. I koniec — i basta. Sny o bohaterskich potyczkach, o krwawym wysiłku i trudzie skończyły się niespodziewanie szybko zamknięciem w obozie za drutami w budynkach jakiegoś liceum czy gimnazjum.

W październiku podczas ciemnej dżdżystej nocy ktoś do okna rodziców w Mołochowie zapukał. Nie poznali Franka w tym brudnym, chudym i niegolonym oberwańcu. Udał mu się jakiś skok oknem z wagonu towarowego podczas przewożenia jeńców pociągiem na zachód. Franek umył się, ogolił, najadł, pozbawił wszy — został.

Chodził jednak zatroskany, smutny, ponury, — jakby popełnił wielki, nieprzebaczalny grzech.

— Nie powinniśmy byli tej wojny przegrać — utrzymywał stale wobec matki, ojca i brata, którzy skłonni byli uwierzyć w jego zdanie.

Został w domu i patrzył. Naokoło niego przewracał się świat. Wyrzucano chłopów z ziemi. Tu — tam aresztowano i wywożono. Tu — tam rozstrzelano na miejscu po wydmach i laskach. Z Polaków robili się Niemcy. Ale i z Niemców nieraz — Polacy.

Zburzyły się w nim jakieś ostateczne wiązania. Pękły jakieś obręcze spinające świat przeżyć i doznań. Wychodził sam z siebie.

— Nie powinniśmy byli tej wojny przegrać albo już nie czuć nic — twierdził uparcie swoje.

Na wiosnę 1940 roku rozpoczęła się branka robotników na roboty rolne do Niemiec. I od tego czasu wypadki zaczęły się konkretyzować i zgęszczać.

Oto jest podwórko Kowalczyków. Lekko już obsycha, bo marzec jest bezdeszczowy. Franek ze Staśkiem reperują kurnik. Stary Kowalczyk przesiewa plewy w stodole. Matka dłubie coś przy obiedzie.

Furtką do środka tarabani się sołtys z rowerem. Sołtys dawniej nazywał się Lewicki i był dość ruchliwym działaczem powiatowym w różnych imprezach przedwojennych. Dziś nazywa się Levitzky, nosi mundur koloru cynamonowego i pozdrawia znajomych, godnych tego powitania, gestem dawnych cezarów. Wszedł, rozejrzał się dokoła i krzyknął głosem charakterystycznym — takim jakim tylko Niemcy potrafili:

— Chlopy! Chlooopy! Maaatka!!

Stary Kowalczyk obserwował go przez szparę we wrotach od stodoły. Kowalczykowa zza firanki kuchennego okna. Przetrawiali pytanie: z czym przyjechał? Nareszcie wyjrzał Stasiek z kurnika. Sołtys na jego widok kiwnął palcem z pańska:

— Komm!

Ten głos żgnął Franka do żywego. Nie wytrzymał. Stanął w drzwiach i krzyknął ostro:

— Panie, panie! Tu się mówi po polsku!

Zakotłowało się. Jak to: on, volksdeutsch członek NSDAP, sołtys wsi Mołochowo świeżo przechrzczonej na Walrode i taki polski szczeniak zabroni mu mówić po niemiecku! Tu, w środku nowej prowincji Ostpreussen! Jemu nikt nic nie zabroni! Jemu nikt nic do powiedzenia nie ma!

— Ja ci, cholero, szwabie, zabronię! I słuchaj: żadnych kart do żadnych Prus. Ani ja, ani nikt inny z tego podwórka nie pójdzie nigdzie. A jeżeli po tym, co ci powiedziałem, jeszcze tu wejdziesz, to ci chamie łeb tą siekierą rozwalę! Zapamiętaj to sobie dobrze!

Budynki stanowiły skupiony, foremny czworobok. W środku niego jak w studni płytkiej gwałtowne dźwięki słów odbijały się od ścian, od dachów i tłamsiły zduszone dołem, zwinięte jak fale odparte o skalisty brzeg. Górą tylko buchały swobodnie i szeroko jak gorący płomień nienawiści.

Kowalczykowa stanęła w drzwiach.

— Franuś, uspokój się, Franuś! — mitygowała go matka, którą wyciągnęła z domu macierzyńska bojaźń o syna.

Sołtys Levitzky ryczał jak zarzynany wół, ale na widok siekiery jednak wycofał się przezornie z podwórza.

Od tego momentu Franek czyni się bohaterem chwili, bohaterem dnia, bohaterem najbliższych zdarzeń. Tego popołudnia już nic nie robił więcej. Następnego też. Chodził z kąta w kąt: ze stodoły na strych domu, z obory do szopy, utykał, maćkał, przewracał, stukał, gmerał.

We wtorek przypadał termin zgłoszenia się Staśka do arbeitsamtu w Płocku. Przy śniadaniu zeszła rozmowa i na to. Staśka gryzły pewne skrupuły.

— Możeby jednak iść tam do tego urzędu... — bąknął niepewnie.

— Ani mi się ważyć! Niech Bóg broni! Siedź w domu i czekaj. Masz czas. Znajdą cię i tutaj, nie bój się! — głos Franka był jakiś ciężki od decyzji, nabrzmiały powagą, tak że przytłoczył wszystkich: ojca, matkę, brata — krępował im wolę i zabijał odrobinę jakiej takiej inicjatywy.

W środę dopołudnia wjechał na podwórko sołtys Levitzky z rezedowym żandarmem. Rozparł się buńczucznie nogami, ufny w swoją powagę urzędowej osoby wspartej żandarmskim argumentem krzyknął:

— Kooowalczik! Koowalczik!

Wyszedł stary Kowalczyk, ulegając wyraźnym nakazom władz administracyjnych ukłonił się, słucha, bo sołtys peroruje z góry. Że syn Stanisław nie zgłosił się wczoraj do arbeitsamtu, a zawiadomienie otrzymał, sam sołtys mu je wczoraj nosił — dzisiaj przyjechał go aresztować. To jest przestępstwo. To jest opór władzy.

Kowalczyk chrząknął speszony, spojrzał na jednego i drugiego dość niepewnie, przesunął ręką czapkę z lewego ucha na prawe dla ułatwienia sobie warunków repliki, ale przeszkodził mu w tem tuż za plecami spokojny, zimny nawet głos syna Franka:

— Dość tego gadania! Daję wam trzy minuty czasu na opuszczenie tego podwórka. Jeżeli nie wyjdziecie — strzelam!

Obrócił szybko oczy sołtys, obrócił jeszcze szybciej żandarm, potem stary Kowalczyk, ojciec. Na ganku domu za nimi stał Franek w klasycznej pozie strzelca: lewa noga wysunięta wprzód, ciało podane drapieżnie przed siebie, głowa schowana między ramionami, wzrok puszczony po lufie. Tylko się czerni mały okrągły punkt lufy ozdobiony szerokimi skrzydłami ochrony muszki.

Ogarnął ich wszystkich płomień przerażenia. Jak to? Jeszcze wiatr nie zdmuchnął perzyn ze spalenisk. Jeszcze widać kikuty ludzkich rąk ze źle sporządzonych grobów. Jeszcze nie obeschła farba drukarska z ogłoszeń w sprawie broni, a ten tu im — Niemcom — grozi karabinem w biały dzień, w środku nowej prowincji Ostpreussen... Nogi się uginają z przerażenia.

— Wyjść! — powtarza znowu po raz drugi Franek, jakby ich chciał przekonać, że to jest prawda.

Więc wyszli: karnie, milcząco, szybko — jakby im piętv przypalał. Już są za płotem. Już są na dróżce. I do szosy — dopiero się obejrzeli. Dom stoi w polu trochę samotnie. Do szosy jest ze trzysta metrów.

— Słuchajcie! Czy was przyjdzie dziesięciu czy stu, to jeżeli tylko który przekroczy mostek od szosy albo miedzę naszego pola — będę strzelał! A przekonacie się, jak ja strzelam! I tych co zabiję nie wolno sprzątać! Nie wolno!... — krzyczał przez trąbkę rąk zwiniętych koło ust.

Żuł w sobie coś, myślał, gryzł się i męczył. Chodził po podwórku z przewieszonym na przedramieniu karabinem cichy i zdecydowany. Kiedy się zgromadzili na podwieczorek, zaczął przemowę. Zaczął od matki.

— Mamo... — i znów zaczął to swoje o wojnie, o tej przegranej, o walce, o śmierci. O swoim postanowieniu. On już stąd nie wyjdzie, więc jeżeli nie chcą umierać... Jeszcze jest czas. Dużo czasu. Mogą robić — mogą bardzo wiele zrobić.

Ten dzień upłynął do końca bez żadnych wizyt. Franek tylko otworzył oba okienka w szczytach na strychu domu, przy każdym okienku postawił kubeł z nabojami i ślęczał przy nich aż do wieczora wyglądając na obie strony. Karabiny — miał ich dwa — oparł o futrynę.

Matka, jak to zwyczajnie matka, próbowała go ściągnąć na ziemię.

— Franuś — wołała z sieni w czarny otwór strychu.

— Co, mamo?

— Franuś, dziecko kochane, co ty robisz?

— Ja wiem, co robię. Oni tu nie wejdą. Powiedziałem i słowa dotrzymam. Ja ich tu nie wpuszczę. Oni do Polski też nie powinni byli wejść.

— Dziecko kochane, oni nas pozabijają, spalą... — jęczała bezradna i mdlejąca ze strachu.

— Już powiedziałem: to niech mama ucieka. Uciekajcie wszyscy. Ja się sam zostanę.

— Ja nie idę nigdzie... I oni też nie chcą...

— A widzi mama! Dajcie mi lepiej co zjeść, bo... — kończył jakby wesoło.

Noc zeszła spokojnie, chociaż nikt nie spał. Spodziewali się lada godzina. Lada chwila. Ale noc minęła, przetarł się pochmurny, lekko mglisty ranek. Zjedli śniadanie udając jedno przed drugim apetyt. Stary Kowalczyk od miski spojrzał w okno. Zadrżał jak ugodzony. Są! — pięć szaro-zielonych postaci w hełmach. Wyszedł do sieni.

— Franek! — krzyknął omdlewającym głosem.

— Co?

— Widzisz?

— No, jeszczeby nie. Już dawno muszką po nich prowadzam. Nie wyglądać tylko oknem!

Niemców nadjechało pięciu. Położyli rowery na brzegu rowu przy szosie. Rozmawiali, naradzali się. Ach, to ten dom. Taki samotny. Czy też tam kto jest? Czy też naprawdę będzie ktoś strzelał? Pod pozorem uporządkowania się zdradzali bezradność. Trzeszczał gruby żwir szosy pod ugwożdżonymi butami.

Poprawiali sprzączki u pasów, podciągali rzemyki u hełmów. Iść? Wreszcie dowódca patrolu rzuca wyraźny rozkaz. Żandarm ściąga pas karabina, skupia się w sobie na znak karnej determinacji i patrząc uważnym okiem spod hełmu na odległe, ciche budynki — rusza.

Oderwał się od piątki, przemierzył szerokość gościńca, przekroczył podróżek szosy ujeżdżony przez rowery na gładko, stąpnął dwa razy po mostku i lewą nogą już sięgał piasku dróżki, która prowadziła do zagrody Kowalczyków, gdy w tej sekundzie...

Ci Niemcy, którzy zostali i obserwowali ruszającego się kamrata cal po calu, zauważyli w pewnej odrobinie czasu, jakby drgnął i na moment wstrzymał się. A tuż zaraz huk wystrzału. Było to szybkie następstwo czynności, ale doskonale dające się rozłożyć na poszczególne człony: drgnięcie, wstrzymanie, strzał i żołnierz się zwija jak od uderzenia piorunem. Na miejscu. Cios w samą głowę.

Reszta padła na ziemię i wczołgała się do rowu. A jednak strzela. Jest to prawdziwe, chociaż wydawało się nieprawdopodobne.

Dowódca chciał jednak spełnić wyraźny rozkaz, był karny i uparty. Rozrzucił ludzi w szeroką tyralierę, ostrzelali okna, dachy i ściany, kazał im się przeczołgać przez szosę i skokami ruszyli naprzód. Chcieli podejść pod budynki, zasłonić się ich murami i spróbować granatów. Ale przy tej kombinacji zginął jeszcze jeden żołnierz, ten, który uniósł głowę, aby skoczyć. Dowódca wycofał zaraz resztę — rowem, ostrożnie, nawet zostawili rowery.

Po południu nadeszły Niemcom posiłki. Przyjechało dziesięciu z lekkim karabinem maszynowym. Do akcji przystąpiło ich trzynastu. Ustawili er-ka-em zdaleka i zasypali grupkę domów gradem kul zapalających. Po co marnować żołnierzy? Ale mury, gliniana dachówka i puste strychy pozostały nieczułe na fosforowe ogniki pocisków. Zginęło jeszcze dwu ludzi. Tam był człowiek, który strzelał z szatańską wprost precyzją, choć strzelał bardzo mało.

Zaciekłość, odwaga, niezawodne, dobre oko i wyniosłe stanowisko przeciwnika dawało mu przewagę nad grzebiącymi się w odkrytym terenie Niemcami. Stratę dalszych trzech ludzi ponieśli wtedy, kiedy próbowali osaczyć domostwa rzadką linią dookólnej tyraliery. Tamten dwoił się i troił. Strzelał celnie, skutecznie i dowódca obliczył, że nim dojdą do jakiej takiej zasłony, zostanie ich dwuch — trzech i ci padną pod ścianami.

Więc przerażona resztka wycofała się i tylko ubezpieczyła zagrożony obszar, aby nikt stamtąd nie mógł się wydostać. Nikt? a jednak w ciemnościach udało się wyczołgać stąd bratu Franka, Staśkowi. Posprzeczali się ząb za ząb.

— Jak chcesz zdychać, to sobie zdychaj... Ja nie chcę!

— Zastrzelę cię tak samo, jak tych Niemców, co tam na drodze leżą!

— To strzelaj. Tu jestem!

— Zastrzeliłbym cię, żeby mi nie było żal tej kuli...

— O... jaki dobry! Kuli mi żałuje!

Coś pomiędzy nimi bryzgało jak żal i klątwa — owa nerwowość, w której miłość objawia się przez płacz, zgrzyt zębów i strach.

Stasiek uciekł, choć Franek groził i prosił — nie pozwalał. Brat przełamał ową pieczęć uległości, jakiej słuchali wszyscy od kiku dni bez szemrania.

Dla resztek Polaków przyszedł czas przerażenia. Ci co jeszcze siedzieli na miejscu drżeli z obawy przed krwawą zemstą rozjuszonych bogów wojny. A ci? Po drutach dźwięczały ciężarne wieści. Telefony niosły na wszystkie strony okropną wiadomość: dom polski broni się strzałami, dom polski zabił siedmiu niemieckich żołnierzy. Nie ma na niego dość siły: jest to głęboki teren - za frontem. Mówiła komendantura, mówił landrat, mówił dowódca najbliższego garnizonu. Krzyżowały się zdania, zapadały decyzje.

Następnego dnia o dobrym ranku zajechał z trzaskiem żelaza i buczeniem motoru duży bojowy czołg niemiecki. Stanął w odległości stu metrów od domu i tam w tych okaleczonych ścianach usłyszeli głos. Ktoś wołał coś o poddaniu, o kobietach.

— Mamo! — wołał Franek ze strychu.

— Co, dziecko? — odpowiedziała mu z kąta półżywa.

— Oni mówią, żeby kobiety stąd wyszły...

— Nigdzie... już dziecko... nie idę...

Więc Franek strzelił tylko raz i drugi, trzeci.

Czołg przystąpił do akcji. Wolno, systematycznie rąbał ścianę domu miejsce po miejscu. I ostrzeliwał z karabinu maszynowego. Odpowiadały mu pojedyńcze, uparte strzały z podwórza. Potem zmienił miejsce i zaczął burzyć obory i stajnie. Pies wył i szczekał na zmianę. Ryczało przeraźliwie bydło. Kwiczały przejmująco świnie. Rżały smutno rozrywane konie.

Wreszcie podniosły się kłęby dymu. Najpierw nad oborą, potem nad stodołą, potem i nad domem. W pewnej chwili strzały karabinowe zamilkły, zamilkły też głosy palonych zwierząt.

Zagroda Kowalczyków paliła się dwa dni. Nikomu nie wolno było do niej się zbliżyć. Wreszcie, kiedy znikło ostatnie pasemko dymu i pogorzela ostygła, nakazali gruz rozwieść, rozkopać fundamenty, a plac zaorać dokładnie.

*

Siedzimy na ławeczce nad brzegiem Wisły po napoleońsku — brzuchami do poręczy.

Przed nami tarantowata od chmur Wisła wrzyna się w szafirowy, jak by lekko przydymiony horyzont wiążący w jedno tam daleko bór, rzekę i niebo.

Na jego tle przeprawia się przez Wisłę oddział zbrojnych Grzymalitów. Parskają konie. Pluszcze pod kopytami rumaków woda. Chrzęszczą metalicznie zbroje. Wiatr wiślany szarpie skrzydła kolorowych proporców.

Teodor Goździkiewicz

Jan Śpiewak

* * *

Pamiętasz
noc odchodziła kulejąc
ku gwiazdom — źrenicom komety.

Gdzie ja?

Gdzie Ty?

Szukamy się wzajemnie
i brniemy po przez ciemność
godzinami.

Chcesz — ptakiem zaśpiewa kamień,
zgasłymi palmami zawoła,
uderzy skrzydłami i chłodem.

Chcesz – zamieńmy się ulicami.

Ja dam Ci „Krzywe Koło",
a Ty mi „Kamienne Schody"

Na gitarze liści graj.

Same grają
chmurką.

Maj
zając nie zając wiewiórka.

A twej twarzy
uśmiech dziecinnieje.

Gdzie Ty?

Gdzie ja?

Szukamy się wzajemnie
i brniemy po przez ciemność
i chwieją się
cienie w alejach

No – nie błądź tak okrutnie.

Mgłę trzeba obejść
w koło
i wołać, wołać, wołać

Moja droga.

Ulice śmieją się Tobie.

Warszawa śmieje się Tobie

Tobie...

— — — Więcej nie mogę

Smutno mi, smutno.

Jerzy Sikorski

O Głuchołazach

Głuchołazy w sierpniu

Pociąg mknie przez wspaniały krajobraz. Oko upaja się szerokimi pasami ściernisk kończącymi się daleko na widnokręgu. Tu i tam rozsiadły się schludne domki pokryte czerwoną dachówką, obok nich ogródki lub sady. Wnet teren staje się bardziej falisty, kontury gór wypływają z mglistej dali. Jeszcze chwila i wysiadamy na ostatniej stacji przed czeską granicą: Głuchołazy Zdrój.

Przed dworcem zapytuję starszego mężczyzny, gdzie znajduje się dom, w którym zamierzam zamieszkać. Jestem mile dotknięty, gdy odpowiada mi w śląskim narzeczu: „Muszom terazki pójść na główno ulica, potym skrencom cestom na prawo i dzierżom się mostu, co to idzie bez rzeka." Na moje zapytanie, skąd on się tu wziął na terenie, który przecież nie był objęty plebiscytem, dowiaduję się, że w Głuchołazach jest 350 Polaków zweryfikowanych z rodzinami. Przyszli oni tu przed ostatnią wojną spod Opola w poszukiwaniu chleba i zatrudnieni byli w miejscowym przemyśle. Między nimi a osiadłymi tu braćmi z nad Wisły nie wszystko układało się zrazu harmonijnie. Wykoślawiona moralność szabrownicza usiłowała wpoić nawet zdrowym warstwom społeczeństwa przekonanie, że każdy posiadający przez sam fakt posiadania jest Niemcem. Znaczyło to całkowitą ruinę dla Polaków miejscowych, którzy życie traktowali przede wszystkim jako teren żywiołowej ekspansji pracy. Około 300 rodzin autochtonicznych straciło w ten sposób cały swój dobytek. Obecnie — zaznacza mój interlokutor — sytuacja zmieniła się gruntownie na lepsze. Dzięki sprężystej organizacji władz miejskich, na których czele stoi Ob. Koszyk, weteran powstań śląskich, ustały wszelkie nadużycia. Tylko szabrownicy odcinają się od czasu do czasu nazywając burmistrza germanem i volksdeutschem. W międzyczasie autochtoni dostali sprzęt poniemiecki, a rany zadane im przez pozbawionych rozumu politycznego braci zagajają się w miarę jak w serca wsącza się nieuchwytny urok polszczyzny.

*

Głuchołazy mają około 30 fabryk. 16 fabryk mebli pracowało przed wojną na eksport do Anglii, obecnie są tam czynione końcowe przygotowania do pierwszych wysyłek mebli również do Anglii. Browar głuchołaski znany był przed wojną nawet handlarzom z dalekiej Australii, a mieszkaniec Melbourne czy Sidney domagał się w restauracjach butelek z etykietą „Ziegenhalser Porter". Prócz tego istnieje gorzelnia, fabryka guzików, 2 wytwórnie rękawiczek, fabryki konfekcyj, armatur, fabryka likierów. Samo to wyliczenie daje pogląd na przemysłowy charakter Głuchołaz.

Wielkością zakładu, objętością produkcji i sprawnością organizacyjną góruje Państwowa Fabryka Papieru nad wszelkimi innymi zakładami przemysłowymi. Przechodząc przez hale fabryczne pełne zgiełku, doznaję uczucia leżącego niezdefiniowanie między podziwem a entuzjazmem. Jeszcze przed rokiem hale te zalegała martwa cisza. Tylko wiatr przewalał się poprzez nieoszklone okna. Na posadzce szkliły się potłuczone szyby wśród kałuż wody zmieszanej z olejem. Na opustoszałych podstawach maszyn ukazywały się brązowe plamy rdzy.

W czerwcu 1945 r. przyjechała ekipa Centralnego Zarządu Przemysłu Papierniczego. Po przeprowadzeniu rewindykacji maszyn wywiezionych przez Niemców do Czechosłowacji rozpoczęto pracę.

Zwolna napływał potrzebny robotnik polski, który jednak poza najlepszymi chęciami nie posiadał kwalifikacji zawodowych i potrzebował koniecznie przeszkolenia zawodowego. Przychodziły pierwsze zamówienia, a wraz z nimi wychodziły pierwsze wagony naładowane belami papieru rotacyjnego. Rosła wytwórczość. W lutym wywieziono 26 wagonów, w marcu 36, w kwietniu 50, w lipcu 96. Głuchołaska fabryka papieru zaopatruje szereg drukarń w papier. Od lipca bież. roku wytwarza również na eksport, który w tymże miesiącu wynosił 42 wagony papieru gazetowego odeszłych do Francji. Obecnie hala magazynowa jest wypełniona kilkoma warstwami bel, które pod słowami „made in Poland" nosią napis miejsca przeznaczenia: — Shanghai.

*

Głuchołazy są również uzdrowiskiem rozporządzającym wspaniałym basenem kąpielowym oraz pięknym parkiem. Wzdłuż alei prowadzącej do jeziorka wznoszą się po lewej stronie luksusowe budynki przeznaczone dla odpoczynku ludzi pracy. Nad mieniącą się w blasku słońca taflą jeziorka wygląda poprzez gałęzie świerków pensjonat dla górników — „Górnik". Na tarasie rozlega się przyciszona muzyka radiowa, a w leżakach wypoczywają sterani pracą górnicy. W pensjonacie mieszka 90 osób. Jest to już 15 turnus w tym roku. Uczestnicy turnusów płacą 30 proc., Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego 35 proc. kosztów, resztę finansuje Fundusz Wczasów.

Idąc wyżej stromą ścieżką leśną natrafiam na Harcerski Ośrodek Szkoleniowy. Teren ośrodka jest ogrodzony krzakami jeżyn. Na łące ustawione są namioty. Tuż obok wznosi się budynek, w którym mieści się świetlica. Na ścianach rozwiesiły harcerki gustowne wycinanki. W głównym domu mieszka 90 uczestniczek kursu.

Na niemalowanych jeszcze ścianach widnieją plamy świeżej zaprawy murarskiej. Szabrownicy, nie mogąc otworzyć żelaznych szaf wbudowanych w ściany, rozwalili w kilku miejscach ścianę. Krzesła i stoły, których nie udało się zabrać, zostały porozrzucane w lesie. Ani jedna szyba nie została cała. W ciągu miesiąca przyprowadziły harcerki z Katowic budynek do stanu używalności. Obecnie dom ten jest rzeczywiście polskim domem. Pełno tu po ścianach herbów miast śląskich, symbolów harcerskich oraz podniosłych sentencyj. Druchny przykładają się do pracy z wielkim zapałem. Świadczy o tym ilość harcerek, które w tych dniach otrzymały w podniosłej uroczystości krzyż harcerski.

Przed ośrodkiem na polanie, na którą padają ostatnie promienie zachodzącego słońca, zebrało się sporo ludzi. Rozpoczynają się tańce wszystkich dzielnic polskich, oklaskiwane rzęsiście przez rozentuzjazmowanych widzów. Tak tańczyli chyba na tej górze nasi przodkowie! Szczególnie imponująca jest zbiorowa recytacja wiersza „Śląsk śpiewa" Tuwima połączona z rytmicznie wykonywanymi ruchami. Następnie występują harcerki mające złożyć przyrzeczenie. Ognisko w pośrodku śle rozwichrzone płomienie ku niebu. Ręce podnoszą się do przyrzeczenia. Słowa komendantki powtarza chór przerzekających. Poważne i skupione twarze wypowiadają wolę służenia wzniosłym zasadom harcerskim. A jedna z harcerek nie może zdławić łez wzruszenia.

*

Głuchołazy wraz z całą ziemią nyską stały się w r. 1198 własnością biskupstwa wrocławskiego na podstawie darowizny księcia Jarosława, który został sam biskupem. Dotacja Jarosława zapoczątkowała duchowne księstwo nyskie. Głuchołazy były w owych czasach prawdopodobnie zamkiem myśliwskim biskupa. „Registrum procuraciae Otmuchoviensis" zawiera dokument z 31 sierpnia 1263 r. o przywileju Głuchołaz noszący nazwę „Districtus Zygenals". Nazwa Zygenals jest zniemczoną formą polskiej nazwy. Żegnalce, jak nazywano tę miejscowość, bo ludzie przekraczający granicę śląsko - morawską żegnali się tu. W późniejszych wiekach dopiero urobili Niemcy z Zygenals dającą już sens nazwę Ziegenhals t. zn. Kozia Szyja. Forma Głuchołazy jest żywcem wzięta z czeskiego Hlucholazy.

Polskość tej ziemi wyziera najwyraźniej z nomenklatury geograficznej. W pismach biskupa Tomasza II Zaręby z 3 i 30 lipca 1284 r. znajdujemy spis 65 wsi biskupich, do których pretendował Henryk IV. Podaję kilka nazw w pisowni nieco zmodyfikowanej wraz nazwami niemieckimi:

Viscow — Wischke, Cubice — Kaundorf, Jasenica — Nieder Henusdorf, Bielice — Bielitz, Melerawice — Gross Mahlendorf, Prosinice — Prockendorf, Rinarcice — Rennersdorf, Jagelnica — Jäglitz, Grisow — Greisau, Lipowa — Lindenwiese, Camenica — Deutsch Kamitz, Glow — Eilan, Swatów — Polnisch Wette, później Alt Wette, Wilamowice — Winnsdorf, Geralcice — Giersdorf, Coperniki — Küppernik (stąd pochodzi Mikołaj Kopernik).

Rzekę, nad którą leżą Głuchołazy, zwali Niemcy Biele. Z systemu obronnego Głuchołaz pozostała jedynie wieża pamiętająca walki z husytami. Kościół farny św. Wawrzyńca utrzymany w stylu barokowym powstał na miejscu znacznie starszego kościoła romańskiego, z którego pozostał jedynie romański portal.

Władysław Błachut

Rozwój oświaty powszechnej

Zagadnienie oświaty i kultury wsi pasjonują nie od dziś wszystkich, którym dobro Narodu i Państwa leży na sercu. Dziś łączy się je nadto z postulatem demokracji kulturalnej, tj. upowszechnienia oświaty i kultury w najszerszych kołach społeczeństwa i stawia się w hierarchii zadań państwowych na czołowym miejscu.

W imię prawdy historycznej musimy stwierdzić, że zrozumienie ważności tych zagadnień wśród rzesz chłopskich, ujawniło się wcześniej niż sprawy te stały się przedmiotem szerszego zainteresowania czynników państwowych, zaborczych czy własnych.

Musimy uzmysłowić sobie, że niezależnie od nieśmiałej i ostrożnej incjatywy ludzi ze dworu i z miasta, po zniesieniu pańszczyzny chłop samorzutnie i w skali powszechnej usiłuje za wszelką cenę przebić mur graniczny między wsią, spowitą w mrokach analfabetyzmu i zacofania, a zaklętym dotychczas dla niego jasnym światem panów ze dworu i z miasta, uzbrojonym w zakazany i niedostępny dla chłopa arsenał kultury materialnej i duchowej. Przez zniesienie pańszczyzny usamodzielniony gospodarczo, pragnie również na odcinku kulturalno - oświatowym posunąć się wyżej, uniezależnić od dworu a najzdolniejszym z pośród męskiej młodzieży wiejskiej zapewnić inną, lepszą od chłopskiej, dolę w mieście.

Te szlachetne, pionierskie porywy chłopskie, ilustruje najlepiej stara naiwna ballada wiejska pt. „Przy wiejskim kościele" o chłopie, który uszczupla swoją substancję majątkową, sprzedaje dwa woły, aby syna posłać do szkół i stworzyć mu warunki bytu choć w przybliżeniu podobne do tych, wśród jakich żyje panicz we dworze.

Chłop w marzeniach swoich nie idzie za daleko, a nawet nie wychodzi poza obręb wsi. Pragnie tylko, aby syn jego stał się „uczonym człowiekiem" i „umieścił się" przy dworze lub został księdzem, a więc zdobytą uczoność zużytkował dla dobra wsi.

Jakkolwiek w konkretnym wypadku spotyka go zawód, bo „uczony" syn wyrzeka się wsi i wsiąka w miasto, to jednak w jego ślady pójdą z czasem drudzy, a młodzi synowie chłopscy, choćby jak ten z ballady — choćby zagubili się później w mieście, w czasie świąt i wakacji szkolnych, będą przekazywać chłopom zdobytą w mieście wiedzę i obyczaje i choćby nieświadomie, staną się pionierami rozwoju kulturalnego wsi.

W następnym okresie już nie pojedyńczy chłop, ale cała gromada wiejska postanawia wyrugować analfabetyzm ze wsi, pragnie udostępnić swym dzieciom (już nie wyłącznie synom) słowo pisane, z ich ust usłyszeć treść tajemniczych „gazyt", jakie w ostatnich dziesiątkach ubiegłego wieku coraz liczniej docierają pod strzechę, do rąk bezradnego chłopa.

W czasie gdy zaborca nie wykazuje dla tych dążności chłopskich najmniejszego zainteresowania, a towarzystwa oświatowe w rodzaju „Macierzy Szkolnej", „T.S.L." i inne jeszcze nie powstały do życia lub nie dotarły na wieś, gromada z własnej inicjatywy, bez oglądania się na dwór, powołuje do życia szkołę i kontraktuje dla niej nauczyciela! „Szkoła" mieści się zwykle w najobszerniejszej we wsi izbie chłopskiej a pierwszym nauczycielem jest wędrowny bakałarz, później miejscowy organista, rzadziej ksiądz lub jakiś, wytykany w swej sferze chłopoman ze dworu.

Była to początkowo szkoła sezonowa, czynna w zimie, a skupionym w niej dzieciom wiejskim przekazała tylko znajomość sztuki czytania i pisania.

Za jej sprawą zaczęło wyrastać na wsi młode pokolenie chłopskie, które umiało w pełni ocenić wartość i praktyczną użyteczność szkoły dla rozwoju i przyszłości wsi.

W tej atmosferze powołana później przez zaborcę na wsi do życia szkoła ludowa i zawodowy nauczyciel ludowy — mieli już ułatwione zadanie. Garnące się do nauki gromady chłopskich dzieci rozsadzają ciasne ściany drewnianej izdebki szkolnej. Powstają nowe, nierzadko murowane, budynki szkolne, powiększają się szeregi nauczycieli ludowych i wchodzą odtąd na zawsze w życie wsi, rozpoczynając wśród chłopów swe szczytne posłannictwo. Nie tylko poprzez dzieci chłopskie, ale także w bezpośrednim zetknięciu ze starszyzną wiejską, wywierają na życie wsi przemożny wpływ. Budzą wśród chłopów świadomość narodową, społeczno - polityczną, rozwijają czytelnictwo. W ten sposób zakładają podwaliny gospodarczego rozwoju wsi i stawiają pierwsze zręby oświaty i kultury wśród chłopów. W pierwszym wyzwolonym z analfabetyzmu pokoleniu dzieci chłopskich wykrywają najzdolniejsze jednostki, przełamują nie wielkie zresztą opory rodziców i pierwszą awangardę chłopską wysyłają po naukę do miasta. W ten sposób rozpoczynają proces przenikania wartości wiejskich w miasto i odwrotnie, który aż do wybuchu pierwszej wojny światowej z roku na rok przybiera na nasileniu. Rządy zaborcze z wiadomych powodów nie aprobują rozszerzonej w ten sposób misji kulturalnej nauczyciela ludowego.

Zawód nauczycielski w hierarchii urzędniczej traktują na ostatnim miejscu, a ich posłannictwo starają się ograniczyć do ciasnego zakresu nauczania dzieci chłopskich czytania i pisania, aby w statystyce europejskiej zmniejszyć liczbę analfabetów polskich.

Za sprawą nauczyciela i szkoły ludowej z wybuchem wojny światowej w 1914 r. — chłop wraz z całym narodem polskim odczuwa i rozumie, że ta wojna ludów przyniesie Polsce wyzwolenie, jedność i samodzielność. Szkoła i nauczyciel ludowy utwierdzają go w tym jeszcze mocniej, a nadto organizują i przygotowują go do spełniania zadań społeczno - politycznych w odrodzić się mającej Ojczyźnie. Wbrew zasadzie, że „inter arma silent musae" w tym właśnie czasie, tam gdzie nie doszedł huk wojny i jej bezpośrednie następstwa, powstają na wsi pod przewodnictwem nauczycieli ludowych kółka samokształceniowe, czytelnie ludowe i amatorskie kółka teatrzyków ludowych.

Wprawdzie przez powołanie nauczycieli mężczyzn do szeregów i obesłanie wsi nauczycielskim elementem kobiecym z miasta, procesy te w niektórych miejscowościach przebiegały ruchem wahadłowym, ale na ogół w tym okresie wieś zarówno na odcinku społeczno - politycznym, jak i kulturalno - oświatowym wykazała duże ożywienie.

Przyszedł upragniony koniec wojny, a wraz z nim powstała do życia Polska, w której chłop stanowił 70 proc. ludności. Ta masa chłopska to już nie bezradny tłum wyrobników na pańskim, czy swoim małym zagonie, ale dzięki pracy nauczyciela i wpływom szkoły oraz otarciu się żywiołów chłopskich w czasie wojny o świat i miasto, świadomy swych zadań i celów obywatel, którzy zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że jego ciężar gatunkowy w życiu państwowym zależał będzie od stanu oświaty chłopskiej, że oświata to zasadniczy warunek gospodarczego odrodzenia wsi.

Dlatego też zacieśnia i rozszerza swój zadzierzgnięty w okresie zaborczym stosunek do szkoły i nauczyciela. Nauczyciel nie tylko uczy dzieci chłopskie w szkole ludowej, ale również prowadzi kursy dokształcające dla dorosłych, odgrywa instruktorską rolę w chłopskich organizacjach młodzieżowych a przede wszystkim przygotowuje i wprowadza coraz liczniejsze szeregi zdolnej młodzieży wiejskiej do gimnazjum w miastach. Chłop za wszelką cenę chce kształcić swe dziecko w mieście, bo rozumie zagadnienie przeludnienia wsi i rozdrobnienia gospodarstw wiejskich i chce zapewnić swemu dziecku inną pozycję w życiu.

Stan czytelnictwa na wsi wzrasta a materialne podstawy kultury wsi doznają poprawy.

Z nastaniem kryzysu, który najmocniej uderzył w chłopa, opisane procesy ulegają znacznemu zahamowaniu.

Niskie ceny artykułów rolniczych przy wysokich stosunkowo kosztach utrzymania w mieście (mieszkanie, artykuły odzieżowe) uniemożliwiają chłopu kształcenie dziecka w mieście. Z tych samych powodów zaprzestaje on prenumeraty gazet i kupna książek do bibliotek wiejskich, które niszczeją i upadają.

Wprawdzie szkoła stanowi nadal ośrodek kulturalny wsi, jednak nauczyciel przeciążony coraz więcej idącymi z góry zleceniami w duchu biurokratyczno - sanacyjnym ma coraz mniej czasu, aby oddać się pracy na niwie oświaty pozaszkolnej na wsi.

Gdyby nie praca ludowych i katolickich organizacji młodzieżowych oraz żywa reakcja chłopskich partii ludowych na eliminujące chłopa od udziału w rządach zakusy reżimu sanacyjnego — możnaby okres ten poprzedzający bezpośrednio wybuch drugiej wojny światowej, nazwać okresem zacofania w ogólnym rozwoju wsi.

Pięcioletni okres koszmarnej okupacji niemieckiej spowodował jak najściślejsze zjednoczenie tych trzech istotnych elementów kultury wsi, tj. szkoły, nauczyciela i chłopa. Ponieważ okupant nałożył ciasny kaganiec oficjalnie uznanym głosicielom oświaty ludowej w szkołach, nauczyciel rozwinął wszystkie swoje siły, wolę i umiejętność, aby w niedozwolonych przez wroga granicach zaznaczyć swój udział i swoje posłannictwo w kulturalnym i politycznym życiu wsi.

W tym czasie następuje zbliżenie a nawet ścisłe zjednoczenie między wsią a nauczycielem, który obejmuje sam nie tylko przewodnictwo kulturalne, prowadząc liczne kursy dla dorosłych i przygotowując młodzież do studiów gimnazjalnych, ale nierzadko kieruje sam ruchem oporu wobec zarządzeń okupanta i stoi na czele tajnych organizacji wojskowych

Musimy przyznać, że jego postawa przyczyniła się w znacznej mierze do tego ,że — wbrew życzeniom wroga — chłop w okresie okupacji zachował swoją godność i wieś wkroczyła w progi wolności z dostatecznie naświetlonym horyzontem myślenia obywatelskiego.

Również dziś, w trudnym i ważnym okresie odbudowy i przebudowy społeczno - gospodarczej Narodu i Państwa oraz w przededniu reformy szkolnictwa powszechnego — nauczyciel ludowy staje w jednym szeregu z chłopem, wśród najcięższych warunków materialnych obejmuje swój posterunek w szkole ludowej i z wiarą w lepsze jutro przystępuje do pracy kulturalno - oświatowej na wsi.

Świadomość wagi i znaczenia uzyskanych przez niego w przeszłości na tym odcinku rezultatów oraz wdzięczność i szacunek rzesz chłopskich, niech mu towarzyszą stale i ułatwiają wykonanie podjętego dziś a tak odpowiedzialnego zadania.

Władysław Machejek

Płomyk łaski

Już drzewa od góry bardziej przestrzeń smalą.
w zimnym plusku cienie się wodzą,
jak na placu dyski.
Dale dalom
toczą ostatnie paliwo: miedziany kłos ścierniska.

Zatrzymujemy oczy na mroczejących biegach,
na ostatnich skrytkach błękitu.
Drżymy. Drżenie, jak światło... Nie gaś —
płomyk po płomyku czytaj.

Za chwilę dłonie, jak biały wodotrysk
nad zawiłe tajnie się niosą.
Świat, tak do niedawna nieszczodry,
uległ pięciu płomykom łaski,
jak na rzece pięciu na raz wiosłom.

Daj pocałunek łaski — tak, jakbyś zapalała
gwiazdę na moich ustach.
Podniesione do pięciu ramion młode ciała
niech się sprawdzą, nim je ranek z mgły wyłuska.

A do świtu płomyk w płomień dojrzeje
i znów się w klinowe pismo słońca pognie.
Rano spytasz: dnieję —
pierzchła jesień i żywię się ogniem?

Marian Narcyz Listowski

Z pól

Pola już się ścierniskami mgliły,
ale dziewanna przypłotna nie tuii,
a słonku do snu nie zakwilił studzienny żóraw.
Krowy nie wróciły.
Idź i ucałuj że dłonie matuli —
ona Cię do snu pieściła nie raz.

Zgasł
fiolet przylepiony do chmurki — obłoczka.
— uśnij że mi i stul piwne oczka —
czy to źle mi, że mi każesz spać?
— Toż muzyka wieczornej ciszy,
toż słuchać naśpiewu wieczoru,
toż grać na zachodzie kolorów.

A po sąsiedzku zabawa,
a ty smutny.

Tak po polach wlokły się muzyki,
w kuczkach stygły trójkanciaste gryki,
— krowom wieczór iść do obór —
wołali:
Gdym ja przygnał, to i spać się układał,
a przyganiaj, u sąsiada się bawią!
— co mi granie, co przytupki sąsiada,
kiej w duszy smutno.
Poszli.

Pot szkli
czoła bruzdy nieorane,
co mi pieśni sąsiedzkie śpiewane,
kiej smutno.

Poszli.

„Hej kolęda, kolęda"

Piotr Greniuk i Marian Mikuta: Hei kolęda, kolęda (inscenizacje, kolędy i wiersze na obchody bożenarodzeniowe), nakładem Wydziału Oświaty Rolniczej przy Wojew. Urzędzie Ziemskim w Łodzi; str. 88.

Książka P. Greniuka i M. Mikuty jest zbiorem utworów poetyckich i fragmentów prozy, które mogą być wykorzystane przy urządzaniu świetlicowych obchodów bożenarodzeniowych. Pomimo małych stosunkowo rozmiarów książki zamieszczono w niej utwory bardzo różniące się między sobą i nastrojem, i ujęciem tematu i stopniem artyzmu, co należy uznać za bardzo szczęśliwe rozwiązanie sprawy, gdyż w ten sposób każdy niemal zespół świetlicowy może wybrać z zamieszczonego materiału to, co mu będzie odpowiadało. Pracę inscenizatorom wiejskim ułatwią z artyzmem i umiarem wykonane obrazki „Świetlicowe kolędowanie" Greniuka i „Na godne Święto" Mikuty. Nie ulega wątpliwości, że „Hej kolęda, kolęda", to książeczka bardzo pożyteczna, a ważna prócz tego jako zbiór dobrych wierszy: zasługująca na znalezienie się w każdej wiejskiej biblioteczce świetlicowej czy organizacyjnej.

Warto jednak zwrócić uwagę na tę okoliczność, że książki tego typu jak „Hej kolęda, kolęda", powinny mieć na celu również należytą popularyzację wartościowej literatury wśród czytelników wiejskich. Uwzględniając tę okoliczność, pragnę zwrócić uwagę na parę przeoczeń, które powinny być usunięte w drugim wydaniu książki. A więc dlaczego np. nie podano przy fragmentach prozy z jakich utworów są one wyjęte? Czyż takie fragmenty nie mogą zachęcić do przeczytania całej książki? Czyż zresztą — pomijając nawet ów wzgląd praktyczny — nie wymaga tego sumienność wydawnicza? Następnie: dlaczego jako autor wierszy „Niech idzie światem" i „Pastorałka góralska na Boże Narodzenie" wymieniany jest Or-Ot, a przy wierszu „Polska Gwiazdka" znajdujemy nazwisko Artura Oppmana. Słabo ze sprawami literackimi obeznany czytelnik gotów dojść do wniosku, że Or-Ot i Artur Oppman to dwie różne osoby.

A wreszcie potknięcie najpoważniejsze. Otóż w książeczce figuruje utwór Stanisława Wyspiańskiego zatytułowany „Modlitwa w dzień Bożego Narodzenia". Ani w żadnym z osobna wydanych tomów Wyspiańskiego ani też w zbiorowym wydaniu pism poety utworu takiego nie znajdziemy. Chodzi w tym wypadku bowiem o wielokrotnie zresztą przedrukowywaną i cytowaną modlitwę Konrada z drugiego aktu „Wyzwolenia". Wydawcy nie tylko nie zaznaczyli nigdzie, że jest to fragment z większej całości, ale dodali temu fragmentowi przez siebie wymyślony tytuł i — co gorsza — tekst Wyspiańskiego zniekształcili, opuszczając szereg strof i to w dodatku w sposób tak niezręczny, że pomiędzy strofą pierwszą a drugą wyraźnie brak związku. Jeżeli chce się przedrukowywać fragmenty jednego z największych naszych pisarzy, to należy odnieść się do jego tekstów z należytym szacunkiem, a stanowczo nie wolno „poprawiać" go — i to tak nieudolnie.

Stefan Lichański

Historyczny atlas

Rzecz sama w sobie jest z pozoru bardziej błaha niż podaje tytuł tej notki, ale właściwie jest to kwestią uczuciowego nastawienia. Wiadomo z psychologii, jak nieraz ludzie przywiązują się do drobnostek, do rzeczy mało ważnych. Jak je cenią i jaką wagę przywiązują do nich.

Chodzi tu o wydany przez firmę wydawniczą „Książnica—Atlas" Mały atlas geograficzny Eugeniusza Romera. Każdy, kto przeszedł przez szkołę choćby powszechną, ma w pamięci tę szarą wytartą książkę formatu wąskiej czwórki, która po otwarciu okładki ukazywała skomplikowany świat barw, kresek, linii i kółek. Cały świat ziemski w dwu niewielkich szarych okładkach.

Rozsyłając do recenzji wydanie czternaste tej publikacji, Książnica—Atlas w stereotypowym liście podała drobny fakt, który ma tak wielką wymowę właśnie emocjonalną: „Pierwszy polski atlas szkolny został wydrukowany u Korna we Wrocławiu z początkiem XIX wieku. Dziś pozwalamy sobie przesłać — pierwszy atlas szkolny wydany na Ziemiach Odzyskanych".

Dwie drobne, ale jakże wymowne sprawy: stulecie owego pierwszego druku na Śląsku. Jakiż musiał być żywy kontakt z Zachodem jeszcze sto lat temu, że podręczniki szkolne były tam dla nas drukowane. I jakąż ma wymowę, że teraz w tak zmienionych warunkach politycznych przypada nam to stulecie obchodzić również drukiem, ale czternastego wydania atlasu szkolnego.

Atlas mimo przymiotnika „mały" jest pojemny — zawiera na 12 stronach szesnaście pozycji: Polskę, Krajobrazy, Europę fizyczną, Europę polityczną, Wielką Brytanię — Włochy i Francję, Europę środkową, Zachodnią Słowiańszczyznę, Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, Półwysep Pirenejski i Bałkański, Afrykę, Azję, Amerykę Północną, Amerykę Południową, Australię, Ziemię i ciała niebieskie, planigloby polityczne.

Nadzwyczajna wyrazistość kreśleń, czystość wykonanej roboty, plastyka i dobry papier stawiają wydawnictwo na wysokim, prawie przedwojennym poziomie. Jest to publikacja z gatunku tych, które są nieodzowne. Wiemy jak szkoły nasze są ubogie w pomoce szkolne. Normalne zużycie materiału pomocniczego w nauce powiększone zostało stratami zadanymi przez okupanta, który niszczył również z niespotykaną mściwością i... mapę polską. Znam jedną szkołę, gdzie wkraczające do Polski wojska niemieckie we wrześniu 1939 wyczyniały potworne, nie do opisania w słowie rzeczy z dziecinnymi i szkolnymi mapami.

Mały Atlas geograficzny Eugeniusza Romera, wydany przez Książnicę—Atlas we Wrocławiu zapełnia okropną lukę w dziale pomocy szkolnych.

md

Nowy numer „Twórczości"

Październikowy (10) numer „Twórczości" poświęca dużo miejsca zmarłym. Znajdujemy w nim pracę nieodżałowanej pamięci Karola Irzykowskiego „Materia poetica", essay przedwcześnie zmarłego Bolesława Micińskiego „Odpowiedź na list Francesca, obywatela rzymskiego" oraz wspomnienia Anny de Noailles, znakomitej poetki francuskiej, o Paderewskim (fragment z pamiętnika w przekładzie Witolda Truszkowskiego), Bernarda Szarlitta o Kazimierzu Tetmajerze oraz Juliusza Germana o Gabrieli Zapolskiej i Tadeuszu Pawlikowskim.

W dziale poezji znajdujemy wiersze Stanisława Piętaka, Jana Bolesława Ożoga i Stanisława Marczak - Oberskiego oraz dwa utwory Tomasza Eliota „Jałowa ziemia" w tłumaczeniu Władysława Dulęby). Poezja francuska zaćmiła nam zupełnie poezję anglosaską, nie mniej chyba bogatą i interesującą. Zadecydowały o tym po prostu żywe kontakty naszych pisarzy i artystów z Paryżem oraz fakt, że język francuski jest u nas bez porównania bardziej znany niż angielski. Przekłady Eliota są więc tym bardziej potrzebne, podobnie jak przekłady innych wybitnych twórców współczesnych Anglii i Ameryki Północnej. Może zdołają one zrównoważyć choć w części zbyt wielki wpływ poezji francuskiej na naszą lirykę.

Stefan Flukowski umieszcza w tymże numerze dramat „Chwila królewskiej niemocy", a Kornel Filipowicz bardzo interesujące opowiadanie „Krajobraz, który przeżył śmierć". Utwór ten należy niewątpliwie do najbardziej interesujących fragmentów prozy, jakie ukazały się na łamach „Twórczości". Wiele materiału do bardzo zasadniczych rozważań przynosi „List półprywatny o poezji" Czesława Miłosza. Ważnymi pozycjami numeru są również studium Wyki o Norwidzie-plastyku „Wędrowny sztukmistrz", jak i przemówienie prokuratora Sawickiego na rozprawie sądowej przeciw Greiserowi.

Uzupełniają numer recenzje (Hieronim Michalski pisze o „Rzeczy ludzkiej" Jastruna a Janina Pregerówna o nowym wydaniu „Granicy" Nałkowskiej) oraz noty (Wacław Borowy: „Shelleyanin polski sprzed wieku" oraz W. T. i W. M.: „Paderewski i Anna de Noailles").

s. I.

Konkurs na powieść dla młodzieży

Instytut wydawniczy „Nasza księgarnia" pragnąc zainteresować pisarzy problemem dobrej książki dla młodych czytelników ogłasza

KONKURS

na powieść dla dzieci w wieku od 10—15 lat.

Tematyka utworu dowolna, z tym, że obok swoich wartości literackich i wychowawczych musi być dostępna i zrozumiała dla dzieci w określonym wyżej wieku i dostosowana do ich psychiki.

Utwory dotychczas nie drukowane należy nadsyłać do 1.6. 1947 r. do Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarnia", Warszawa, ul. Smulikowskiego 4, z dopiskiem na kopercie „Konkurs". Prace winny być opatrzone godłem. Nazwisko i dokładny adres autora załączyć w zaklejonej kopercie.

Nagrody:

I — 80.000 zł.

II — 40.000 zł.

III — 20.000 zł.

Sąd Konkursowy może po zapoznaniu się z nadesłanym materiałem inaczej rozdzielić wymienione nagrody. Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia" zastrzega sobie prawo pierwszeństwa do drukowania nagrodzonych i wyróżnionych utworów na ogólnie przyjętych warunkach wydawniczych.

Objętość powieści winna wynosić od 8 do 15 arkuszy druku (garmond).

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone za pośrednictwem prasy.

Czy odżyje powieść psychologiczna?

Stefan Otwinowski — „Nagrobek" Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" — 1946 r.

Dużą rolę w ocenie utworu literackiego, a nawet w sposobie jego percepcji odgrywa kontekst. Może on właściwie spowodował, że „Nagrobek" wydał mi się utworem prozaicznym napisanym metodą dramatu. Czytałem bowiem tę książkę pod bezpośrednim i żywym wrażeniem „Wielkanocy", wystawionej w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi. Pobieżna jednak choćby analiza wykazuje, że ta sugestia nie była wyłącznie mechaniczna.

Opowieść p. t. „Nagrobek" napisana jest w formie wspomnień o człowieku, przy czym wspomnienie to obejmuje pewne symptomatyczne fragmenty z życia Gabriela Turny'ego, (przyjaciela opowiadającego), oraz daje jego pełny obraz, jako zjawiska psychicznego i społecznego przez szczegółową analizę, albo — jak pisze autor — wywołuje jego „widmo". Wydaje mi się, że wyłonienie tych dwu problemów z całości analizy jednego człowieka w tym utworze jest uzasadnione względami techniki pisarskiej. Pierwszy z tych problemów możnaby nazwać inaczej warstwą fabularną utworu, której tematem jest staczanie się człowieka, jakiego nazywa się „pięknoduchem", do samobójstwa. Poszczególne rozdziały książki Otwinowskiego pokazują — jeżeli chodzi o tę warstwę tematu — stałe, postępujące uzasadnienie rozwiązania. Właśnie uzasadnienie jednego czynu. W przekroju — grubym oczywiście przekroju jest to jedność akcji — klasyczna cecha dramatu. Gdyby usunąć opowiadającego i jego interpretacje pewnych zjawisk i stanów Gabryjela, zostawiwszy opisy tych miejsc, gdzie odbywa się tak zwana akcja, otrzymalibyśmy nie co innego, jak właśnie dramat, który miałby tylko pewne luki do uzupełnienia w dialogu, stosowanym w utworze z wielką powściągliwością.

Drugą cechą dramatyczną jest skąpa ilość osób i ich uplanowanie. Otwinowski wprowadza bowiem tylko takie osoby, które odkrywają, tłumaczą Gabryjela (Watycki — wspólny przyjaciel opowiadającego i Gabryjela, hrabina, hrabia i ojciec hrabiego — Wywrzeccy, służący Watyckiego), albo w sposób determinujący wpływają na decyzję (Irena).

Trzeba tu jeszcze dodać jedną zasadniczą uwagę. Otwinowski wybrał specjalny okres życia Gabryjela, gdy dramat psychologiczny dojrzał, gdy rozwiązanie go stało się koniecznością nieuchronną.

Ta nieuchronność, zdeterminowanie stopniujące się tylko, nie przechodzące wstrząsów, które zmieniały choćby na krótko kierunek możliwości przewidzianych wytwarza przy konsekwentnej analizie specjalny nastrój tragizmu, który cechuje cały utwór.

Druga warstwa utworu a właściwie tego samego tematu to sekcja prowadzona przez opowiadającego z niesłabnącą do końca pasją badacza nad przejawami psychiki Gabryjela. Retrospekcja psychologa nie wyczerpuje jednak analizy. Otwinowski poszerza argumenty „sprawy" na sytuację społeczną, dając wspomnienia o rodzinie Turny'ego ,a następnie wprowadza na scenę niektórych jej przedstawicieli. Bezwzględnie: powiedzieć, że autor dał Turny'ego na tle współczesnej sytuacji społecznej byłoby zasadniczym błędem. Nie można sugerować się ostatnimi zdaniami rozdziału zatytułowanego „Nagrobek", gdzie czytamy „wypisałem epitafium nietylko przyjacielowi, ale i czasom, w które wracać poraz trzeci nie miałbym już chęci. Głównie dlatego, że beznadziejność ich zobaczyłem w wycieczce powtórnej" (we wspomnieniu).

Objektywnie stwierdzić trzeba po przeczytaniu książki, że „czasy" (samobójstwo Gabriela nastąpiło w lecie 1939 r.), czy ich beznadziejność mają może odpowiednik w atmosferze tragicznej utworu, ale do utworu nie weszły; ci ludzie, których autor wprowadza, są bardzo szczupłą grupką i objaśniają tylko sytuację społeczno-rodzinną Gabryjela, według zasady stwierdzającej, że na formowanie się psychiki indywiduum wpływ zasadniczy oprócz wielu innych ma również sytuacja społeczna. „Czasy" nie mają tu swego nagrobka.

Książka Otwinowskiego, której charakterystyczne cechy nie pozwalają nazwać jej powieścią, ale literacką próbą ujęcia tematu psychologicznego ma pozycję właśnie jako dowód możliwości zastosowania nowej techniki kompozycyjnej w gatunku powieści psychologicznej. Być może, że technika dramatu okaże się w dalszych zastosowaniach nie tylko ciekawa, ale uzdrawiająca dla powieści czysto psychologicznej, która przeżywa swój zdecydowany i zasłużony kryzys. Ale to jest już sprawa przyszłości.

Piotr Stanisław Ziarnik.

BANK GOSPODARSTWA SPÓŁDZIELCZEGO

I PRZESZŁO 1000 SPÓŁDZIELNI OSZCZĘDNOŚCIOWO-POŻYCZKOWYCH.

ZASILAJĄ PRZYJAZNYM KREDYTEM SPÓŁDZIELNIE oraz SPÓŁDZIELCZO ZORGANIZOWANYCH ROLNIKÓW I RZEMIEŚLNIKÓW; KAŻDA KWOTA ZŁOŻONA W BANKU LUB SPÓŁDZIELNI OSZCZĘDNOŚCIOWO - POŻYCZKOWEJ STANOWI SŁUSZNE SKOJARZENIE INTERESU OSOBISTEGO Z DOBREM SPOŁECZNYM.

KAŻDY CHŁOP, ROBOTNIK I PRACOWNIK UMYSŁOWY SKŁADA KAŻDĄ, NAWET CHWILOWO WOLNĄ KWOTĘ PIENIĘŻNĄ W NAJBLIŻSZEJ PLACÓWCE BANKOWEJ.

CENTRALA I ODDZIAŁ GŁÓWNY

AL. KOŚCIUSZKI Nr 47 w ŁODZI.

ODDZIAŁY I AGENTURY W 200 MIEJSCOWOŚCIACH POLSKI.

MINISTERSTWO PRZEMYSŁU
CENTRALA ZBYTU MASZYN ROLNICZYCH

w ŁODZI — ul. PIOTRKOWSKA Nr 109

zawiadamia, że

wszystkie Spółdzielnie, Hurtownie i Kupcy Prywatni są **zobowiązani** sprzedawać pochodzące z fabryk Państwowych Maszyny i Narzędzia Rolnicze, Wozy, Koła, Części Płużne, Zęby Sprężynowe według cennika Nr 4 wydanego przez Centralę dnia 30 lipca 1946 r.

Ceny w tym cenniku są zatwierdzone przez Departament Ekonomiczny, nie mogą być samowolnie podwyższone i rozumieją się **bez** jakichkolwiek **dopłat za przewóz** we wszystkich składach **w całym kraju**, w tych miejscowościach, gdzie jest stacja kolei normalnotorowej.

Tam gdzie kolej normalnotorowa nie dochodzi, może składnica — po uzgodnieniu z Centralą — doliczać **rzeczywiste koszta** zwózki, od najbliższej stacji, lecz nie więcej jak 2 do 5 zł na każde 100 złotych wartości towaru, zależnie od odległości składu od stacji.

Cennik powinien być wywieszony na widocznym miejscu.

ROLNICY NIE PRZEPŁACAJCIE ZA MASZYNY I NARZĘDZIA!

Jeżeli ktokolwiek żąda ceny wyższej niż przez nas podana, prosimy zawiadomić nas o tym pod następującym adresem:

Ministerstwo Przemysłu — Centrala Zbytu Maszyn Rolniczych
Łódź, skrzynka pocztowa Nr 224.

Listy można wysyłać bez znaczkowania.

FAKTY i ZDANIA

PRZED WYBORAMI

Wybory zostały wyznaczone na dzień 19. 1. 1947 r. Fakt ten oznacza wyjście z okresu tymczasowości, normalizację naszego życia państwowego.

Sejm Ustawodawczy ma przed sobą zadania nader skomplikowane i poważne, dlatego też społeczeństwo polskie nie może powodować się w dniu wyborów namiętnościami partyjnymi, urazami osobistymi czy lękliwą niechęcią do wszystkiego, co niesie ze sobą poważne zmiany polityczne i społeczne. Wynik głosowania powinien mówić nam o rozumie politycznym narodu, a nie o rozdzierających ten naród namiętnościach.

Chodzi o to, by spojrzeć na naszą sytuację państwową bez „urzędowego" optymizmu, ale z całym poczuciem powagi chwili i ze zrozumieniem naszego interesu państwowego. Zwycięstwo obozu reform, obozu walczącej demokracji jest w tym wypadku koniecznym warunkiem stabilizacji naszych stosunków wewnętrznych i naszej sytuacji międzynarodowej.

Nie chcemy w tym wypadku apelować do uczuć, deklamować o sprawiedliwości, postępie, demokracji, walce z reakcją i t. d. Wolimy raczej odwołać się do zdrowego rozsądku, który mówi, że wybór form ustrojowych dla każdego społeczeństwa i w każdym momencie historycznym jest określany konkretną sytuacją polityczno-społeczno-gospodarczą danego społeczeństwa i że nie może ono wybierać sobie tych form zupełnie dowolnie. W wyborze zaś między możliwościami realnymi kierować się należy możliwie najlepiej i najpełniej rozumianym interesem całości a nie poszczególnych grup.

W sytuacji naszej uniknąć musimy wszystkiego, co zachwiałoby równowagę wewnętrzną państwa i osłabiło jego pozycję międzynarodową. T. zw. bezkompromisowość ideowa jest cnotą zasługującą na szacunek, ale jedynie w tym wypadku, gdy można być zupełnie pewnym, że wyznawane przez nas idee wytrzymują racjonalną i rzeczową krytykę i że ich realizacja wyjdzie na dobre i nam samym i naszemu narodowi. Taki rachunek sumienia powinien przeprowadzić każdy Polak, nim zadecyduje, na kogo głosować w dniu wyborów.

Zwycięstwo sił negacji, sił „emigracji wewnętrznej" postawiłoby nasz naród wobec straszliwych niebezpieczeństw. Zdajemy sobie z tego dobrze sprawę i dlatego chcemy apelować właśnie do wszystkich wątpiących, niechętnych, wahających się.

Kto ma zastrzeżenia do obecnego ustroju Polski i do popierającego ten ustrój obozu demokratycznego, niech nie rezygnuje ze swoich zastrzeżeń, ale niech spokojnie i rzeczowo rozważy, czy upadek tego obozu i załamanie się tego ustroju nie byłyby równoznaczne z rozpętaniem w Polsce anarchii, walk partyjnych, a może nawet wojny domowej. Nasza nowa państwowość jest dopiero w fazie krystalizacji, czyż mamy więc rozbić wszystko, czego dokonaliśmy dotychczas, by całą robotę zacząć raz jeszcze od nowa? Przedsięwzięcie bardzo niepewne i niebezpieczne.

Patriotyzm był u nas zwykle sprawą serca. Czas, by zacząć patriotyzm pojmować bardziej racjonalnie, by skojarzyć go z takimi cnotami jak roztropność, ostrożność, myślenie na długi dystans, męskie opanowanie bezpośrednich odruchów uczucia. Narodom znajdującym się w sytuacjach przejściowych, a więc zawsze trudnych i kłopotliwych, ta druga forma patriotyzmu bardziej wychodzi na zdrowie. **a. p.**

PRACA SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ NA FILMIE

W najbliższym czasie Przedsiębiorstwo Państwowe „Film Polski" przystąpi do nakręcania krótkometrażowego filmu z życia wsi województwa Śląsko - Dąbrowskiego. Film ten zapozna ogół społeczeństwa z działalnością Związku Samopomocy Chłopskiej na Śląsku, a także z dolą i niedolą ludności, zamieszkującej teren Opolszczyzny. Zasadniczym motywem filmu będzie kwestia współżycia miejscowych chłopów-autochtonów z chłopami - repatriantami i osadnikami. Główna akcja rozgrywać się będzie we wsi Czarnowąsy, oddalonej 7 km. od Opola.

Reżyser filmu kpt. Gordon spędził ostatnio kilka dni na Opolszczyźnie, zapoznając się z panującymi tam stosunkami i opracowując scenariusz.

Prace nad kręceniem filmu rozpocząć się mają w końcu bieżącego miesiąca.

Z ŻYCIA SZKÓŁ ROLNICZYCH

Jedna z realizowanych konsekwencji reformy rolnej — to sieć nowych szkół rolniczych, mających swe siedziby w resztówkach, powstałych po parcelacji wielkich własności ziemskich i niekiedy gospodarstwach poniemieckich.

Nowe szkoły na wsi, oprócz tych wszystkich bolączek, jakie dotyczą szkolnictwa miejskiego, przeżywają jeszcze mnóstwo dodatkowych, spowodowanych warunkami pionierskiej pracy w terenie. Tutaj nauczyciel licho płatny nie tylko nie ma możności zarobienia na dodatkowych lekcjach, ale styka się jeszcze z całym szeregiem trudności, jakich pozbawieni są koledzy w mieście.

Najbardziej codzienne trudności i przykrości, to nieporozumienia z dawną służbą folwarczną, zajmującą z konieczności część budynków majątkowych. Dawna służba, z której większość stanowią dzisiejsi nadzieleni, radaby widzieć majątek rozparcelowany zupełnie, inwentarz zaś wszelaki rozdzielony między siebie.

Z niechętnymi nastrojami spotyka się też często kierownik, czy dyrektor szkoły ze strony Zarządów Gminnych i tak zwanych lokalnych czynników społecznych. Pobudkami czynnych nieraz wystąpień jest z jednej strony egoizm jednostek i niezrozumienie wszystkich konsekwencji reformy rolnej, z drugiej zaś — nienawiść do reform mniej lub więcej ukrytych elementów reakcyjnych. Na terenach ujawniających działalność „leśnych ludzi" dochodzi nieraz do aktów różnych wymuszeń i pospolitej grabieży mienia szkół, dokonywanych albo przez samych „leśnych", albo przez ludzi miejscowych, którzy czując za sobą poparcie „lasu", spodziewają się, że grabież ujdzie im bezkarnie. W rezultacie częstym jest zjawiskiem, że przebywanie w terenie jest po prostu ze strony nauczyciela cichym bohaterstwem, czego w pełni nie potrafią nawet ocenić bezpośrednie władze szkół rolniczych, nie zawsze w porę i nie zawsze energicznie stojące w obronie pracowników i podległych ośrodków szkolnych.

Na szczęście, oprócz tych smutnych faktów, mamy do zanotowania inne, pozwalające rokować bardziej optymistyczne nadzieje. Jako przykład może posłużyć Gminna Szkoła Rolnicza we Wrzącej, w powiecie sieradzkim, której uroczyste otwarcie nastąpiło 9 listopada br. Ośrodek został przejęty dopiero 4 lipca br. Nie obeszło się—co prawda — bez nieporozumień z dawną służbą folwarczną, ale jednak już w normalnym terminie tj. 15 października szkoła rozpoczęła pracę z 33 uczniami.

Z największym zadowoleniem i uznaniem notujemy fakt harmonijnej współpracy z nową szkołą lokalnych czynników społecznych, dzięki którym rozwiązano trudny dziś problem skompletowania personelu nauczycielskiego. W myśl zarządzenia Ministerstwa Rolnictwa i R. R. (Nr OR/1/I/10/1) dla nauczycieli gminnych szkół rolniczych za 1 godzinę nadliczbową w tygodniu wynagrodzenie miesięczne (t. zn. za łącznie 4 godziny wykładu) wynosi 60 zł. (sześćdziesiąt!), czyli za 1 godzinę efektywną aż 15 zł. Stawka ta dotyczy i t. zw. nauczycieli dochodzących. Otóż proszę sobie wyobrazić, że znaleźli się nauczyciele dochodzący: jeden prezes Gminnej Samopomocy Chłopskiej, drugi — sekretarz Gminy Gruszczyce. Trudno podejrzewać, żeby ci ludzie kierowali się chęcią zarobku. Ale dlatego też dla odpowiednich czynników tym większą troską powinna stać się sprawa materialnego zabezpieczenia ludzi, którzy budują Nową Polskę.

c. g.

GRZECZNOŚĆ POWSZECHNA

Od dwóch lat bez mała walczy forma grzecznościowa „obywatel" z formą „pan". Zanosi się na to, że „obywatel" ustąpi w końcu przed „panem". I nic w tym dziwnego, bo ludzie tak mówić przywykli.

Nie jesteśmy przyzwyczajeni jakoś zwracać się do kogokolwiek przez „obywatelu" i być w ten sposób nazywani. Lepiej już pozostać „panem", ale z jednym zastrzeżeniem.

Bo jeszcze nie tak dawno forma „pan", bez warunków i akcentów osłabiających, odnosiła się do panów całą gębą, do ludzi mniej lub więcej z „towarzystwa", o których pisało się „JWPan", „JWPani", a mówiło „niech pan, pani, będzie łaskaw, łaskawa", lub nieco słabiej „proszę pana", „proszę pani". A obelgą wprost byłoby powiedzieć „panie" lub zwrócić się przez „niech pan", czy coś w tym rodzaju. Nie wypadało także zapytać: „czy pan ma to a to", gdyż grzeczność powszechna nakazywała wyrażać się: „czy pan posiada" — zamiast „ma"

Przy pomocy słowa „mieć" i „być" wymijało się poniekąd formę „pan". Mówiono więc: „czy już ma to a to" w miejsce „czy pan już ma to a to", albo „czy już był tam a tam" zamiast „czy pan już był tam a tam". W ten sposób obydwa te czasowniki zordynaniały niejako i trzeba je było zastąpić, gwoli grzeczności, czasownikami „posiadać" i „przebywać". Wyrażali się przeto — i nie zawsze przesadnie ugrzecznieni np. tak: „gdzie pan przebywał", gdyż wyrażenie „gdzie pan był" uchodziło co tu dużo mówić, za nie bardzo grzeczne.

Jeżeli znów, ze strony przeciwnej, prostak zagadnął osobistość tytułowaną bez potrącenia o jej tytuł, mógł zawsze doczekać się odpowiedzi co najmniej z przekąsem.

Między ludźmi „nie prostymi", „nie zwyczajnymi" mówiło się i mówi: „panie inżynierze", „doktorze", „mecenasie", „profesorze" itp. W środowisku zżytym ze sobą można odezwać się przez „panie Kazimierzu", „panie Stanisławie", „pani Zosiu", czy jak inaczej kto się zwał. Lecz obrazą byłoby tam zwrócił się do kogo przez „panie" — no, powiedzmy — „Kowalski" bo forma taka była cicho zastrzeżona jedynie i wyłącznie do rozmów z konieczności, z ludźmi „prostymi", z hołotą, jak to się powiadało i powiada.

A rozmowy tego rodzaju wyglądały tak mniej więcej: „Panie Kowalski, niech pan Kowalski pójdzie tam a tam i niech pan Kowalski zabierze stamtąd walizkę, to panu Kowalskiemu..." P. Kowalski odpowiadał przeważnie „słucham" lub też „proszę bardzo" i nie zdarzało się właściwie, żeby zauważył mimochodem, iż dobrze wie, jak się nazywa.

Bywało jeszcze, że p. Kowalski, zwyczajny Kowalski, usłyszał nie raz i nie dwa, iż nie jest wcale „pan" a tylko „wy" albo nawet „on". Miarą takiej grzeczności była zasada „suum cuique" (oddać każdemu tyle, ile mu się należy) a jej następstwem pogląd, że trzeba być lordem w salonie a parobkiem w podwórzu.

Wobec chłopów i w rozmowach z chłopami panowała prawie wyłącznie forma „wy". Mówiono: „słuchajcie gospodarzu", „powiedzcie-no gosposiu" itp. Chłopa zaś, który odwzajemniłby się „nie prostemu" współrozmówcy formą „wy" na odlew, zaliczano do nader zróżnicowanej kategorii komunistów. Tłumaczono to tym, że chłopi sami nawzajem się „wykają" i nie są bynajmniej do tego przyzwyczajeni, by nazywać ich panami. A gdy ich nazwać, wtedy proszą, żeby im „panie" nie mówić („bo jaki ja pan").

Tę chłopską sztuczkę brano za jeden z objawów „chłopskiej krzepy". O święta naiwności mieszczucha!

W tej chwili barwa uczuciowa słowa „pan" jest nieco inna, niż dwa lata temu. — Dzisiaj przeciwnicy „obywatela" — a wielu ich i różni oni — chętnie tytułują panem każdego, kto popadnie, chociaż go dawniej tak nazywać nie chcieli. Prostak Kowalski czuje się obecnie, jeśli nie całym panem, to przynajmniej pankiem. Chłop spod Nadarzyna czy spod Mielca też zdążył przywyknąć do tego, że jest już nie „wy", a właśnie „pan". „Obywatela" zaś uważa za cudo biurokratycznej mistyki.

Wtajemniczeni twierdzą, że słowo „obywatel" nie znosi przy sobie słowa „niech" i dlatego należy mówić „obywatelu weźcie", „obywatelu zróbcie". Lecz to już nie wpłynie w najmniejszym stopniu, aby przeciwnicy „obywatela", a zwolennicy „pana" zaczęli mówić: „weźcie panie", „zróbcie panie". — A ileż byłoby w tym dostojeństwa! P. Kowalskiemu wystarczyłoby wtedy mizerne „niech pan będzie łaskaw wziąć"

W każdym razie, tak czy inaczej, dobrze się stało, że narzucono nam „obywatela" mimo „pana". Znosić go jednak jeszcze za wcześnie, gdyż „pan", panujący niepodzielnie, mógłby znów pokusić się o zdobycie swego dawnego, wielkopańskiego znaczenia

Fal.

CIEKAWY KONKURS

Wydział Wydawniczy Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie, który prowadzi placówkę wydawniczą pod nazwą „Nasza Księgarnia", rozpisał konkurs na powieść dla młodzieży szkolnej. Szczegóły tego konkursu podajemy na innym miejscu i zainteresowany czytelnik znajdzie je na pewno.

W tej notatce chodzi o co innego — o podkreślenie wagi tego zjawiska. W naszym bowiem literackim życiu przed i powojennym rozpisywano najrozmaitsze konkursy, w których powieść (względnie forma do tego rodzaju utworu literackiego zbliżona) panowała niepodzielnie.

Konkurs ten przełamuje dotychczasowe zasady i podaje piszącym innego rodzaju wysiłek umysłowy: napisanie powieści dla dzieci czy młodzieży. Zdaniem naszym jest to zjawisko niepoślednej miary, które warto otoczyć nadzwyczajną opieką, i które na pewno będzie obesłane bogato, bo i cel i spore nagrody pieniężne warte są tego.

Nasza literatura dziecięca do czasów niepodległości jakby prawie nie istniała. Wśród tej pustki znaczą się olbrzymim blaskiem „w pustyni i w puszczy", a tuż zaraz za nią idą utwory Przyborowskiego. To prawie wszystko, jeśli się nie weźmie przekładów dla młodzieży z języków obcych i owoców epigonizmu.

Dopiero okres międzywojenny dał nam, jeśli nie wysoko pod względem gatunkowym, to przynajmniej ilościowo bogaty dorobek. Cały szereg twórców daje wcale dobre pozycje literackie przeznaczone dla młodzieży. Wśród nich należy zanotować nazwiska Kazimierza Rosinkiewicza, Barbary Kossuthówny, Heleny Zakrzewskiej, Edwarda Słońskiego, Kazimierza Konarskiego, Janiny Broniewskiej i wiele, wiele innych.

Wbrew popularnemu mniemaniu pisarz dla dzieci musi być nielada mistrzem pióra. Zalety literackie utworu muszą się łączyć z zaletami pedagogicznymi, więc porywająca fabuła z elementem moralnym. Powieść dla młodzieży ma bawić, rozwijać, uczyć, wychowywać.

Na widowni naszego życia powojenno-literackiego zabłysło cały szereg nazwisk pisarskich. Reprezentowane są wszystkie działy polskiego życia społecznego: od morza przez miasto aż do wsi. Nie wątpimy, że i ten rodzaj twórczości — powieść dla młodzieży, znajdzie nowe i godne siebie pióra pisarskie, które literaturę naszą wzbogacą o dalsze wartościowe pozycje. Młodzież bowiem po tej wojnie wymaga specjalnego oka troskliwości i pieczy wychowawczej.

tg.

Książki nadesłane do Redakcji

WYDAWNICTWA KSIĄŻNICY—ATLAS

Eugeniusz Romer — **Mały Atlas Geograficzny**, wydanie XIV, str. 12; Książnica—Atlas Wrocław—Warszawa 1946.

Włodzimierz Kuryłowicz — **Penicylina**, str. 160; Książnica—Atlas, Wrocław—Warszawa 1946.

***

Biblioteczka Francuska

Charles Vildrac — **Découvertes**, str. 27; Wrocław—Warszawa 1946, zeszyt 4.

Romain Roland — **Le Jeu de l'Amour et de la Mort**, str. 93; Wrocław—Warszawa 1946, zeszyt 11.

Le Roman de Tristan et Iseut — renouvelé par Joseph Bédier, str. 79; Wrocław—Warszawa 1946, zeszyt 16.

Beaumarchais — **Le mariage de Figaro**, comedie, str. 128; Wrocław—Warszawa 1946, zeszyt 17.

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wieś" przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P. K. O. Łódź VII—1080

Prenumerata „Wsi" wynosi zł 25 miesięcznie, zł 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Komitet redakcyjny: Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga - Michalski Józef, Pictak Stanisław.
Komitet terenowy: Frasik Józef Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław.
Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.
Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96 I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź ul. Żwirki 2. D—011621

Rolnicy!

Przemysł papierniczy, który również pracuje na Wasze potrzeby, często odczuwa brak surowców, które niszczeją u Was.

Nie wyrzucajcie szmat i odpadków lnu

Są one bowiem cennym surowcem w przemyśle papierniczym dla przerobienia na papier i bibułkę.

Zarówno szmaty jak i odpadki lnu możecie korzystnie sprzedać w punktach skupu **Centrali Odpadków.**